

TATARSKIE SERCA

Ienar Szajeh
Musa Çaxarxan Czachorowski
Ahaŧ Muszyński

TATARSKIE SERCA

Opowiadania

Muzułmański Związek Religijny
w Rzeczypospolitej Polskiej
Najwyższe Kolegium Muzułmańskie

Wrocław 1444/2022

Redakcja i opracowanie techniczne:
Robert Błaszak

Korekta:
Barbara Pawlic-Miśkiewicz

Copyright by Muzułmański Związek Religijny w RP
Najwyższe Kolegium Muzułmańskie & Autorzy, 1444/2022

Wydawca:



15-207 Białystok, ul. Piastowska 13 F
tel. (+48) 85 732 40 23, tel. kom. (+48) 605 612 137
e-mail: mzr@mzr.pl, www.mzr.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone

Wydanie drugie rozszerzone

Zrealizowano dzięki dotacji
Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

ISBN 978-83-65802-41-5

Skład, druk i oprawa:
Agencja Wydawnicza ARGi s.c.
ul. Wodzisławska 16
52-017 Wrocław

Książkę złożono 11-punktową czcionką kroju Brygada 1918

Na okładce akwarela Iljasa Ajdarowa
(*Mały minaret i grobowiec chański w Bułgarze*, 2021)
artysty malarza z Tatarstanu.



Paraska Nalewajko

CO W TATARSKICH SERCACH GRA...

Właśnie... Cóż takiego wpływa na serca, oddalone od siebie ponad dwa tysiące kilometrów, pulsujące w różnych życiowych warunkach, poddawane przez lata odmiennym doświadczeniom, pewnie inaczej reagujące na wiele zbliżonych bodźców, że biją zgodnym rytmem? Cóż takiego w nich gra – ponad czasem i przestrzenią – na jedną nutę? Oto przed nami niewielki zbiór opowiadań tatarskich autorów: Lenara Szajeha, Musy Czachorowskiego i Ahata Muszyńskiego (właśnie w takiej kolejności są zaprezentowani: od najmłodszego do najstarszego). Różnią się między sobą, podobnie jak różnią się ich twórcy, jednak w każdym z nich pobrzmiewa tatarskość, atawistyczna wręcz cecha zakodowana w zakątkach świadomości, objawiająca się zbliżoną tożsamością dookolnego postrzegania świata i ludzi, uczuć, obrazów, smaków. Jednocząca. Dająca siłę i budująca, ale też wzbudzająca tęsknotę za życiem dawnym, za stepem, polem, wioską. Za wartościami, które bezwzględna teraźniejszość unicestwia, dając w zamian byle co i byle jak.

Stwierdzenie powyższe nie jest nazbyt odkrywczе, nie dotyczy bowiem wyłącznie Tatarów. Zjawisko takie – wspólnotę odczuć, podobieństwo wrażeń i ekspresji ich wyrażania, między innymi właśnie w formie pisanej – zaobserwowano już dawno w odniesieniu chociażby do przedstawicieli wspólnot etnicznych i wyznaniowych, a także rozmaitych kręgów kulturowych. Zatem Szajeh, Czachorowski i Muszyński – nie tylko jako Tatarzy, lecz co ważniej-

sze, Tatarzy opanowani przez pradawną pasję snucia opowieści, w społecznościach stepowych jakże często spotykaną i darzoną powszechnym szacunkiem, wielokroć otoczoną swoistym lękiem – zbliżają się do siebie, momentami nawet jednoczą na płaszczyźnie pozazmysłowej, w braterstwie doznań, których korzenie tkwią bardzo głęboko w gnieździe odległego dzieciństwa.

Tatarów, parających się współcześnie literaturą, zwłaszcza prozą, mamy w Polsce niewiele. Policzyć ich można na palcach jednej dłoni, w dodatku większość z nich nie żyje. Ich opowiadania prezentowane były na łamach tatarskich czasopism, staraniem Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP ukazało się też kilka książek, wszystkie właściwie o charakterze wspomnieniowym: *Niedokończona tatarska opowieść* Sulejmana Mucharskiego (1900–1986), *Droga mojego życia* Mustafy Abramowicza (1915–2018), *Żołnierskie wspomnienia i Z opowieści mojej matki* Jachji Sobolewskiego (1925–2018). Mieli odmienne dzieciństwo i odmienną dojrzałość, mimo to każdy – mniej lub bardziej wyraźnie – odpowiada na tatarskie wezwanie. Jest w nich zarówno tęsknota za latami minionymi, wierność zasadom wyniesionym z domu, świadomość swego miejsca, jak i nieustępliwe podążanie w przyszłość. To wszystko, w innym oczywiście anturazu, znajdziemy bez trudu w zbiorze *Tatarskie serca*.

Trzech autorów: Lenar Szajeh i jego trzynaście opowiadań, Musa Czachorowski również z trzynastoma tekstami oraz Ahat Muszyński, mający zaledwie trzy, jednak sporo dłuższe. Czy przemówią do nas ich tatarskie serca? Czy rozeznamy się w tym, co je dręczy, i w tym, co cieszy? Co z tego wszystkiego zrozumiemy i zechcemy skonfrontować z własnymi przeżyciami i rozterkami? „Atmosferę tych opowieści przesyca jakiś rodzaj animizmu, czarownictwa, stanów mistycznych. I nie kłóć się one z prozaicznymi opisami [...]”¹ stwierdza Urszula Benka.

¹ U.M. Benka, *Próba dotyku* [w:] *Tatarskie serca* (wyd. pierwsze), Wrocław 2021, s. 10.

Według niej zawierają one „osobliwie prostą metafizykę”². Rzeczywiście, i Lenar Szajeh, i Musa Czachorowski zdają się obracać w przestrzeni prostych odwiecznych wartości, które wyzwalają prostą metafizykę, lub – odwrotnie – prosta metafizyka kształtuje ich proste wartości. Mniej filozofowania, więcej życia, nietrwonionego według jakiegoś widzimisię, ale opierającego się na nienaruszalnych, danych przez Stwórcę Wszechrzeczy zasadach. Prawda to prawda, kłamstwo to kłamstwo, miłość oznacza miłość, a zdrada – zdradę. Zło nigdy nie jest równe dobru, ciemność nigdy nie jest równa światłu.

Najmłodszy z autorów, Lenar Szajeh, mieszka w dużym mieście, Kazaniu. Pisze przede wszystkim dla dzieci, stąd w wielu jego opowiadaniach oraz wierszach odnajdziemy dydaktyczną nutę. Podobnie podporządkowany temu jest styl opowiadań: są niedługie, proste, czasem jakby nieco naiwne. Niewinne? Wciąż wierzy, że jednym z obowiązków pisarza jest kształtowanie wśród czytelników, w tym konkretnym przypadku dzieci i młodzieży, właściwych – pozytywnych – wzorców postępowania. Ceni sobie piękno natury, miłość i wierność, sąsiedzką życzliwość, pracowitość, uczciwość. Jest przywiązany do zasad, od wielu stuleci budujących ludzką społeczność, wzajemne relacje bez zawiści i niechęci, bez agresji. Szczególne znaczenie ma dla niego rodzina, zarówno ta najbliższa: żona i dzieci, jak i dalsza: rodzice, teściowie, dziadkowie oraz pozostali krewni. Pielęgnuje w sobie tatarską pamięć, wraca po tropach w świat własnego dzieciństwa, dociera do miejsc, w których nie był, a które poznać musi, aby się dopełnić.

„To zawsze i nieubłaganie oznacza podróż wewnętrzną ku zharmonizowaniu wszystkiego w sobie, a wszystko oznacza także wszystkie drogi, wszystkie dotknięcia stopą czy kopytem końskim na drodze przodków – bez jakich naszego ja by nie było”³ – konkluduje Urszula Benka i ma absolutną rację. Two-

² Tamże.

³ Tamże.

rzy nas przeszłość zapisana w mniej lub bardziej wyraźnych cechach fizycznych, nade wszystko determinująca naszą osobowość, naszą psychę. Oczywiście są ludzie z jakichś powodów odzegnujący się od swego pochodzenia, odcinający od dawnych rodzinnych dziejów. Pomimo tego, prędzej czy później, ich dzieci lub wnukowie, nieraz dopiero prawnukowie, rozpoczną wędrówkę w poszukiwaniu minionego czasu: ludzi, miejsc, wydarzeń. Tak właśnie uczynił Lenar Szajeh. „Gdzie jest ziemia, która przyciąga moją duszę? Ziemia dziadków?”⁴ – pyta rozgoryczony: „Kto jest winien temu, że na zawsze zostałem pozbawiony możliwości zobaczenia wsi Stary Semiostrów? Dlaczego mnie unieszczęśliwiliście, dlaczego?”⁵.

Jakże podobny w tym peregrynowaniu jest Lenar Szajeh do Musy Czachorowskiego. Ten wszakże idzie nie tyle przed siebie, co w siebie, we własną świadomość tudzież podświadomość, w serce: „Otom ja, krew z krwi dawnej, kość z kości przodków, a jednak inny, choć jednaki i niezmienny, opisany dawno wygasłymi ogniskami, tętentem końskich kopyt, zapomnianymi mogiłami z nierozpoznawalnymi już nagrobkami. Otom ja – i krew z mojej krwi, kość z moich kości, moi synowie, ich synowie oraz synowie ich synów. Oto pamięć rzeczy, która niechaj trwa”⁶. Drogowskazy obu autorów – oraz przystanki – są te same: wiara, rodzina, uczciwość. Wierność dziedzictwu. Obaj poszukują, gotowi zatracić się na tej drodze – niezależnie od tego, gdzie ich doprowadzi. O ile dla Lenara celem wydaje się być dotarcie do rzeczywistej, namacalnej ziemi dziadków, ujrzenie jej, o tyle celem Musy jest ciągłe duchowe odwiedzanie i mentalne doświadczanie nadal w nim obecnej przeszłości, którą bezustannie żyje. Odzwierciedla się to szczególnie w opowiadaniach dołączonych do obecnego wydania *Tatarskich serc: Idący, Dorożka,*

⁴ L. Szajeh, *Moje serce płonie* [w:] *Tatarskie serca* (wyd. pierwsze), Wrocław 2021, s. 20.

⁵ Tamże, s. 21.

⁶ M.Ç. Czachorowski, *W czasie, w przestrzeni*.

Gniada, Targowisko, Chleb. Z jednej strony mamy do czynienia z jego bezustannym powracaniem po śladach, dochodzeniem do źródeł dziecięcych i młodzieńczych uniesień, z drugiej natomiast, paradoksalnie, stałym dążeniem przed siebie. Co jest celem: sad przed dziadkowym domem, ścieżka wiodąca prosto w otwarte drzwi sionki? Przeszłość? Przeszłość splatająca się z terażniejszością, wpływająca na przyszłość. Tak naprawdę tworząca ją.

Lenar Szajeh określa się mianem zwykłego człowieka, który żyje w zgodzie ze swoimi przekonaniem, przedkładając spokojne sumienie nad konsumpcyjne dobra. „Życie poświęcone złotemu cielcowi nie jest życiem. Odejdziemy, a wszelkie rupiecie i konta bankowe pozostaną”⁷ – mówi w *Monologu zwykłego człowieka*. „[...] zapominamy o tym, że istnieje na świecie naturalność, umiejętność rozumienia innych, stawiania się na ich miejscu. Człowiek nie zajdzie daleko, jeśli będzie zadzierał nosa i nie zauważał nikogo wokół siebie. [...] Jestem zwyczajny, podobnie jak moja dusza. Nie ma w niej zawiści, złości ani innych szumowin. Życie jest dla mnie radością”⁸ – stwierdza dalej. W gruncie rzeczy identyczne, chociaż nie tak bezpośrednio deklarowane, jest podejście Musy Czachorowskiego oraz Ahata Muszyńskiego. Pierwszy wpisał je pomiędzy linijki swoich opowiadań, w ich osnowę. One – te wyznawane wartości, zasady, pryncypia – implikują taki a nie inny bieg wydarzeń, są imperatywem, który nadaje życiu sens i cel. Bez nich wszystko byłoby inne, również *Tatarskie serca*. Muszyński uczynił prawie jedno, ale też odmiennie: obdarzył swoimi uczuciami białego wilka oraz jego dozorcę.

Wilka Ahata Muszyńskiego ucieleśnienia wolność i więź z pierwotną naturą, obejmującą jakże ludzkie zdawałoby się

⁷ L. Szajeh, *Monolog zwykłego człowieka* [w:] *Tatarskie serca* (wyd. pierwsze), Wrocław 2021, s. 56.

⁸ Tamże.

przymioty: rodzinę, opiekuńczość, wierność. „Wilcze pary małżeńskie pozostają sobie wierne przez całe życie. Bez urzędów stanu cywilnego i umów ślubnych ściśle przestrzegają monogamii. [...] Zdarza się, że w tym samym legowisku mieszka z nimi dziadek lub babcia, a nawet jakiś wujek. Pomagają rodzicom wychowywać potomstwo”⁹ – opowiada przewodniczka w ogrodzie zoobotanicznym. Aksym, Białas, takie nadano tam wilkowi imię, został pochwycony przez łowców, którzy zabili jego rodzinę. W niewoli nie jadł: „[...] wychudłeś na kość”¹⁰ – mówi do niego dozorca, podrzucając mu kawał świeżego mięsa: „Musisz się dobrze odżywiać. [...] Asza¹¹, asza... Wcale nie patrzę...”¹². Uwięziony wilk „Odnajdywał coś bliskiego w tym starszym już mężczyźnie. Był w jakiś sposób zrozumiały, przewidywalny, bez tej ukrytej, nikczemnej agresji tkwiącej w ludziach”¹³.

Gabdrahman przeżył już swoje, dobrze wie, czym jest miłość i zdrada, poświęcenie i samotność, rozpacz. Rozumie wilcze uczucia, w pięknym białym wilku, osieroconym, tęskniącym i zagubionym, odnajduje siebie sprzed lat. „[...] podobnie jak ty, jestem samotnym wilkiem”¹⁴ – oznajmia Aksymowi. Odchodzi, lecz nie domyka drzwi, umożliwiając zwierzęciu ucieczkę. Realizacja jej wymaga jeszcze przepłynięcia zimnego, pełnego na wpół roztopionego śniegu jeziora, na którego brzegu zebrała się już obława. Wilk podąża ku swemu przeznaczeniu, ku wolności, a jak wiadomo: „Życie to zdumiewająca sprawa, nie da się go tak łatwo powstrzymać”¹⁵, toteż szczęśliwie umknie, stając się symbolem przemożnego pragnienia swobody. Według Urszuli Benki „To jeden z niuansów, jakimi nasycy się inność tatarska

⁹ A. Muszyński, *Aksym*.

¹⁰ Tamże.

¹¹ Asza (tat.) – jedz.

¹² Tamże.

¹³ Tamże.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Tamże.

[...] symbolika¹⁶, moglibyśmy więc całe opowiadanie odczytać według symboli: wilk – łowcy – klatka – wyzwolenie, co otworzyłoby nam szerokie możliwości interpretacyjne, zwłaszcza w obecnej sytuacji za naszą wschodnią granicą.

Wilk, wprawdzie szary, a nie biały, pojawia się również w tekście Musy Czachorowskiego. „Był cieniem, błyskiem, zapachem unoszącym się ponad nocnym pustkowiem”¹⁷ – zaledwie przecuciem, posmakiem, mającym wszakże wpływ na całe życie bohatera opowiadania. Wilk to przecież nie tylko realna istota, ale dla wszystkich narodów tureckich niesłychanie ważny symbol, pewnie istotniejszy od żywego zwierzęcia. „Dla dawnych plemion tureckich był ucieleśnieniem siły i wolności. Był także czymś w rodzaju ducha opiekuńczego, kagana (władcy) całego ludu i jego państwa; ducha, który wybiera wówczas konkretną osobę, jednostkę niezwykłą; ochrania ją i udziela pomocy w doniosłych momentach”¹⁸.

Lenar Szajeh, Musa Czachorowski i Ahat Muszyński usłyszeli niegdyś wilczy zew i są mu posłuszni. We właściwy dla siebie sposób – czasem instynktownie, czasem z rozmysłem – odpowiadają na wezwanie, które napływa ku nim zewsząd. Z minionych epok i z teraźniejszości, z rzeczywistości oraz z imaginacji. Idą, wciąż idą swoją drogą, podobni i niepodobni do siebie, pomimo odmiennych (nie tak znowu do końca) kolei losu zanurzeni po głowy w wielobarwny nurt tatarskiego – powiem nawet szerzej – tureckiego – istnienia pod Wiecznie Błękitnym Niebem. Poruszają się wśród symboli, w głębi swej istoty czując obecność czegoś – kogoś – prawiecznego. Niosą pod powiekami niegasnące nigdy światło: mistycyzmu, szaleństwa,

¹⁶ U.M. Benka, *Próba dotyku* [w:] *Tatarskie serca* (wyd. pierwsze), Wrocław 2021, s. 12.

¹⁷ M.Ç. Czachorowski, *Szary wilk* [w:] *Tatarskie serca* (wyd. pierwsze), Wrocław 2021, s. 81.

¹⁸ G. Zajęc, *Samotność wilka*, „Rocznik Tatarów Polskich”, t. VII (XXI) 2020, s. 222.

pokory zrozumienia? Może tylko zapętlenia w bezskutecznej próbie przeciwstawienia się upływowi czasu, przewartościowującemu diametralnie tak wiele moralnych zasad, norm ludzkiego postępowania. Trzech tatarskich pisarzy, bliskich sobie, żyjących wśród ludzi, jednak w gruncie rzeczy samotnych. Tak... Bardzo samotnych...

Paraska Nalewajko



Lenar Szajeh

MOJE SERCE PŁONIE

Prolog

Kiedy w latach 60. i 70. ubiegłego wieku rozpoczęła się w naszym kraju budowa wodnych elektrowni, to z jednej strony przyczyniła się do zaopatrzenia ludności w niezbędną energię elektryczną. Z drugiej jednak spowodowała, że zalane zostały ogromne połacie żyznej ziemi, zbożowych zagonów oraz łąk. Pod wodą znalazły się liczne wsie i osady. A zdarzało się też, że po przymusowym przesiedleniu wsi, z powodu niedokładności w obliczeniach, na opuszczone i zdewastowane tereny woda nawet nie dochodziła.

Jeśli się nad tym zastanowić, to jedynie na terenie rejonu aktanyskiego Tatarstanu zniknęły z powierzchni ziemi większe wioski oraz setki gospodarstw, takich jak Stary i Nowy Semiostrów (Oszer i Czijalek), Tatarski Azbej, nawet osada Derbioszkinskij, w której były tysiące domów. Ileż łez i żalu, ileż przekleństw musiało wywołać wymuszone, gwałtowne rozstanie z rodzinnym domem.

Chcę opowiedzieć o Starym Semiostrowie. To rodzinna wioska mojej *dau eni*¹⁹ i wielu innych krewnych, dlatego jest mi tak bliska i droga. Wiele się nasłuchałem, że w swoim domu mieszka tam Gabdułła *abzjy*²⁰, ale nigdy nie widziałem go na

¹⁹ *Dau eni* (tat.) – babcia ze strony matki.

²⁰ *Abzjy* (tat.) – pełen szacunku zwrot do starszego wiekiem mężczyzny.

własne oczy. Jak to jednak mówią, rodzona krew wzywa, więc zjawiłem się wreszcie w wiosce, z której wywodzą się moje korzenie.

1

Pamiętam ten dzień jak dziś. Był 30 sierpnia, gdy rankiem wyruszyłem w drogę z rodzinnej wioski Taktalaćzuk. Najpierw zjechałem do wsi Kartowo, zaś pod wieczór skierowałem się przez wieś Bulak do osady Jamały. Potem Stary Semiostrow. Słońce przygrzewało, na niebie nie było ani chmurki. Ledwie jednak wyszedłem z Jamały na bezkresnym stepie, zaraz powiał chłodny wietrzyk. No więc szedłem tak sobie i szedłem, wpatrując się w odległy horyzont.

W oddali pojawiło się coś białego. Czyżby to ten samotny dom? Zdążyłem już go sfotografować i wciąż szedłem naprzód i naprzód. Na stepie nie widać ani jednej żywej duszy, tylko niekiedy przejeżdża jakiś samochód, wzbijając kurz na polnej drodze. O Allahu, ta biel okazała się górującą w oddali kupą nawozu! Gdzie jest wioska? Gdzie jest ziemia, która przyciąga moją duszę? Ziemia dziadków?

Szedłem dalej i dalej...

Naraz przede mną ukazał się las. Oto w oddali, gdzie płaczące wierzby pochylały się ku wodzie, błysnęło coś czarnego... Czyżby to Gilmudin *babaj*²¹ wyszedł na spotkanie wnukowi? Jego serce nie wytrzymało z tęsknoty za mną i wyczekuje teraz za żywopłotem? A mówili, że ośleplł po tym wszystkim, co przeżył w więzieniu, gdzie zamknęli go jako kulaka. Nagle przypomniałem sobie, co powiedziała Fljuda *apa*²², córka Gajfutdina *abyja*²³, rodzzonego brata mojej *dau eni*.

²¹ *Babaj* (tat.) – dziadek.

²² *Apa* (tat.) – siostra, ciocia.

²³ *Abyj* (tat.) – starszy brat, wujek.

Mówili, że od nas (ze wsi Kartowo) do Starego Semiostrowa jest osiem wiorst. Gilmutdin babaj był niewidomy. Nie pamiętam go widzącego. Kiedy do nich przychodziłam, zdarzało się, że płakał, gładząc mnie po twarzy i przesuwając po mnie ręką. Gajnijamal ebi²⁴ była bardzo łagodna i uwielbiała śpiewać. Wciąż pamiętam, jak śpiewała:

*Długo szłam do rodzinnego domu,
Aż się zmęczyłam na tej mojej drodze.
Przysiadłam – w myślach pogrążyłam,
poczułam, że moje serce płonie ogniem.*

Bardzo sympatyczną, uśmiechniętą była zmarła...

O Allahu... Czy oczekuje tam na mnie patrząca w okno Gajnijamal ebi, która przygotowała pyszny balisz²⁵ i rozdmuchała węgle w samowarze, aby zaparzyć pachnącą herbatę z oregano, kwiatem lipy i dziką różą? Dlaczego nie znam ani Gilmutdina babaja, ani Gajnijamal ebi? Dlaczego nie doczekali moich urodzin? Kto jest winien temu, że na zawsze zostałem pozbawiony możliwości zobaczenia wsi Stary Semiostrow? Dlaczego mnie unieszczęśliwiliście, dlaczego?

Kiedy tak szedłem pograżony w myślach, ocierając płynące łzy, ten czarny przedmiot stawał się coraz lepiej widoczny. Przerdzewiały żelazny słup... Gdy się zbliżyłem, dostrzegłem pojedyncze litery, a potem pojawiły się też słowa. Wreszcie doszedłem, jeszcze tylko dwa lub trzy kroki... Po jednej stronie słupa napis „Stary Semiostrow”, a po drugiej „Nowy Semiostrow”. Te słowa przeszły moją duszę i wszystko we mnie wywróciło się do góry nogami... Poczułem się dobrze, ale jednocześnie też smutno. Postąłem trochę. Teraz już wystarczyło pójść w kierunku wskazanym przez strzałkę na słupie...

²⁴ Ebi (tat.) – babcia.

²⁵ Rodzaj tatarskiego żuru, podawanego w placku lub chlebie.

Skręciłem w lewo. Niebawem doszedłem do jakiegoś jeziora. Okazało się, że droga prowadzi wokół niego. Wierzby, ze wszystkich stron otaczające jezioro niczym babinki, które zebrały się na pogaduszki, trzciny, lilie wodne wychylające się na powierzchnię, jakby chciały mnie zobaczyć, wszystko zresztą zdawało mi się przyglądać, mówiąc: „Witaj, bracie! Podążaj drogą, nie schodź z niej, bo się zgubisz”. Po drugiej stronie jeziora pasło się stado krów, a przy stogu kręciło się trzech pastuchów. Chciałem ich zapytać: „Hej! Czy dobrze idę do Starego Semiostrowa?”, ale moje pytanie uniósł wznoszący się wiatr, słowa i litery rozproszyły się i zanurzyły w wodzie, a może zawisły na wierzbach lub też poleciały na drugą stronę i uderzyły o krowi róg.

Czy ktokolwiek usłyszawszy, jak starzy ludzie lamentowali podczas przymusowego przesiedlenia wsi: „Nie chcemy się przenosić. To jest nasza rodzinna ziemia, rodzinny dom: tu się urodziliśmy i tu pomrzemy”, jak młodzi mówili zakłopotani: „Mielismy nadzieję tu mieszkać, założyć rodziny, wychować dzieci” – w czymkolwiek im pomógł? Dał chociaż jakąś radę?

Nagle skądś pojawił się traktor. Allah jest litościwy! W kabynie siedzieli mężczyzna i kobieta, z tyłu do ciągnika przyczepiony był niewielki wózek. Podniosłem rękę i zapytałem zwalniającego kierowcę:

– *Abzyj*, daleko jeszcze od Starego Semiostrowa? Jak dostać się do domu Gabduły *abyja*?

– Chodź, wskakuj na przyczepkę – machnął ręką, wskazując do tyłu.

Wskoczyłem, nawet się nie zastanawiając.

Nieźle mnie wytrzęsło, zanim żelazny koń zatrzymał się wreszcie przy stogu siana. Wychyliwszy się z kabiny, *abzyj* wskazał mi drogę:

– Widzisz tam żelazny słup? Od niego zaczyna się wieś Stary Semiostrow. Widzisz dom trochę dalej? To Gabduły. Podejdź drogą.

Zanim zdążyłem podziękować, traktorzysta i jego towarzyszka zdjęli z przyczepki widły i pospiesznie zaczęli ładować siano.

Czy równie szybko rozkopywali groby, gdy przenosili cmentarz Starego Semiostrowa, z trzaskiem wrzucali kości do skrzyń i przewozili je na takich samych traktorach? Czy też biedne kości nie pokruszyły się od tego trzęsienia, nie obróciły w popiół?

Tymczasem w oddali, pobłyskując blaszanym dachem, powitał mnie samotny dom...

Wydawało mi się, jakby silny wiatr śpiewał mi do ucha pieśń Gajnijamal *ebi*:

*Długo szłam do rodzinnego domu,
Aż się zmęczyłam na tej mojej drodze...*

Szkoda czasu... Chociaż nogi są zmęczone, trzeba iść naprzód, szybko naprzód, do Starego Semiostrowa.

2

Naprzeciwko mnie wyrósł żelazny słup, na którym wielkimi literami oznajmiono: „Stary Semiostrow”. Za nim rozrosły się bujnie pokrzywy, łopian, len i piołun. Przez ten „las”, nieomal mojego wzrostu, przebiega wąska ścieżka.

No i masz, toś ty taka, wiosko! Nie chciałem zobaczyć cię taką. Zaszłoby się teraz na podwórko domu Gilmutdina *babaja* i Gajnijamal *ebi* i wypić choćby łyk zimnej wody z głębokiej studni... Niemożliwe. Można jedynie domyślać się, gdzie stał ich dom. Uff! Jestem ledwo żywy z pragnienia, język przykleił mi się do podniebienia...

Z pewną obawą wszedłem na ścieżkę, ale wgłębiałem się coraz bardziej. Kto by pomyślał, że kiedyś była tutaj duża wioska z siedmiuset gospodarstwami, z własną mleczarnią, sklepem wielobranżowym, młynem i innymi obiektami gospo-

darczymi. Zostało tylko pustkowie porośnięte chwastami. Od czasu do czasu w gąszczu pokrzyw, łopianu i piołunu słychać szelesty, całkiem jakby ktoś tam chodził, obserwował mnie. Kółszące się na wietrze wysokie łądygi suchej trawy szeleściły, jakby śpiewały, opowiadały mi historię wsi, szeptały o czymś, coś chciały przekazać... Kręta ścieżka, wijąca się wzdłuż ulicy, a potem przez ogrody, doprowadziła mnie do centralnej części będącej tu niegdyś wsi.

Tutaj pewnie znajdowało się gospodarstwo Gabdeldżabara *agaja*²⁶, a tam – Malika *babaja*, zaś nieco dalej mieszkała córka bogacza Munawara? Ech, wiosko... Jesteś niczym samotna staruszka, czekająca na swoją ostatnią godzinę. Słyszę twój ciężki oddech... Jak możesz przetrwać, gdy twoja historia, całe twoje poprzednie życie zostało przywalone kamieniami i chwastami? A przecież nie chcesz umierać, zniknąć jak poranna mgła, którą rozwiewa jesienny wiatr, nie chcesz odrywać się od korzeni... Pragniesz żyć! Życ!

Szedłem długo, aż nagle przed moimi oczami pojawiła się otwarta przestrzeń. Po prawej stronie rozpościerało się jezioro, z przodu łąka, a po lewej stała pochylona stodoła. Dalej – zagroda bez jakiegokolwiek ogrodzenia – serce wsi.

Na skraju rozłożył się solidny, niedawno zbudowany dom z drewnianych bali. Obok niego drugi, który przeżył już swoje, przekrzywiony i zapadnięty w ziemię. Wydawało się, że wchłoniął w siebie całą historię, przeszłość wsi... Na lewo łaźnia, drewnutnia kryta strzechą i stopy kłód, naprzeciwko – ogrodzony wybieg, otoczony płotem ogród. Wokół kręciło się domowe ptactwo, leżące opodal krowy przeżuwały paszę, prychały konie wyczerpane upałem, słychać było beczenie owiec.

Kiedy wszedłem na podwórko, skądś wyłoniła się kobieta w średnim wieku. Miała na sobie kolorową sukienkę z krótkim rękawem, granatowe spodnie i wyblakłe kalosze. Na głowie sta-

²⁶ *Agaj* (tat.) – szanowany, honorowy człowiek.

rannie zawiązaną kolorową chustkę. Nie byłem specjalnie zaskoczony jej widokiem.

– Dzień dobry! Czy mieszka tu Gabdułła *abyj*? – zapytałem.

– Tak, tutaj. Jestem jego siostrą z miasta Sarapul. Mam na imię Gljuda. Na lato przyjeżdżam do mojej rodzinnej wioski. A ty kim jesteś?

– Lenar. Moja *dau eni* Gulchira, córka Gilmutdina, pochodzi z tej wioski. Już dawno pragnąłem odwiedzić – odpowiedziałem.

– Aaa... To ci dopiero...

– Gdzie jest Gabdułła *abyj*?

– Kosi siano za ogrodem, zaraz go zawołam – powiedziała Gljuda *apa* i zniknęła.

W tym czasie ze starego domu wyszła babcia w okularach, ubrana w znoszoną niebieską bluzkę i spraną długą sukienkę, z głową owiniętą zwykłą chustką. Okazało się, że to matka Gabdułły *abyja* – Guldżan *ebi*. Przekrzywiony, zapadnięty w ziemię domek i babcia wydawały się być w tym samym wieku. Oznaczało to, że odzwierciedlają epokę, w której wieś jeszcze rozkwitała. Chyba że może być przyszłość bez przeszłości, bez historii?

Wkrótce z ogrodu przyszło dwóch mężczyzn z opalonymi twarzami i rękami. Jeden miał na podkoszulce ubranie robocze, na głowie zaś kapelusz. Drugi był w lekkiej koszuli i szarej czapce. Okazało się, że ten lżej ubrany to Gabdułła *abyj*. Przywitałem się z nimi, przedstawiłem, wyjaśniłem, w jakim celu przyjechałem.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – uśmiechnął się gospodarz.

Następnie wraz ze swoim przyjacielem Rawisem *abzyjem* spokojnie zapalili papierosa.

Gljuda *apa* szybko pobiegła do starego domu przygotować herbatę. Guldżan *ebi* poszła nad jezioro, aby zaopiekować się owcami. My, mężczyźni, zostaliśmy razem.

– Chwała Allahowi, mimo że wioska zniknęła, ludzie nie przypadli – rozpoczęła Gabdułła *abyj*. – Odwiedzają nas i krew-

ni, i przyjaciele. Z Czełn, Bugulmy, Sarapula przyjeżdżają samochodami łowić ryby. Każdego roku obchodzimy *sabantuj*²⁷ z naszymi krajanami. Po roku 1976 zostaliśmy sami, jednak żyjemy. Czy można opuścić rodzinną ziemię? – westchnął ciężko.

– Gabdułło *abyj*, czy tak bardzo kochaliście swoją rodzinną wioskę? A po wybudowaniu zbiornika woda wszystkiego nie zatopiła? – zapytałem.

– Ech, braciszku, życzenia rodziców są w stanie chronić zarówno przed wodą, jak i przed ogniem. Nie chciałem rozstać się z rodzinną ziemią, na której spędziłem dzieciństwo i młodość. Nie chciałem... A woda tak czy owak nie zatopiła. Dlaczego trzeba było wyrwać z korzeniami całą wieś? W swoim czasie zajmowała osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt hektarów ziemi. Dzisiaj dopiero zauważyli, że umarła... – jego słowa pełne były smutku. Serce biedaka wędnie, płacze gorzkimi łzami. – Płacili za przeniesienie, ale dawali pieniądze dopiero po rozebraniu domów. Ja zaś od samego początku chwyciłem się ziemi rękami i nogami, nie wyobrażałem sobie niczego innego oprócz mojego aulu – ze smutnym westchnieniem dopalił papierosa. – Latem pomaga przyjaciel Rawis i syn siostry, Dilaris. Dobrze, że są. Chwała Allahowi, mama żywa, zdrowa – mówił dalej.

– Nie nudno tak samemu? Nie pojawiła się chęć, aby zostawić wszystko i wyjechać?

– Już do tego przywykłem. Rodzinna ziemia, na cudzą nogi nie ciągną. Ale było wielu, którzy radzili: „Przenieś się, nie bądź głupi”. Nawet teraz, jeśli będą chcieli mnie wypędzić, nie zgodzę się. Zostanę tu do ostatniego oddechu.

– Ten pański dom jest bardzo stary. Pewnie jeszcze z carskich czasów?

– Tak, został zbudowany w 1918 roku. Chociaż nie był to główny dom, mieszkali w nim przez pół wieku, potem w dru-

²⁷ Starotatarskie święto pługa (przyp. tłum.).

gim. Kupiliśmy go w pięćdziesiątym dziewiątym roku. Następnie zbudowaliśmy nowy. Latem mieszkamy w starym, zimą przenosimy się do współczesnego.

Gljuda *apa* zaprosiła nas na herbatę. Opłukaliśmy ręce i weszliśmy w trójkę do niskiego domu.

Na skraju stołu stał samowar na węgiel drzewny. Pomyślałem, że nie mają ani prądu, ani gazu. Oznacza to, że są pozbawieni wszelkich życiowych wygod. Mimo to rodzinnej ziemi za nic nie wolno zamienić. Raz ją stracisz, więcej już nie odzyskasz...

Z przyjemnością piliśmy herbatę, rozmawialiśmy.

– Pewnie nigdy wcześniej nie piłeś takiej herbaty? – uśmiechnął się Rawis *abyj*.

Tak, wygląda na to, że minęło dziesięć, może piętnaście lat od ostatniego razu, gdy gościłem u naszej sąsiadki, nieżyjącej już Machinur *ebi*. Od tamtej pory nie miałem okazji pić herbaty gotowanej w samowarze na węgiel... Piłem z zadowoleniem, ocierając pojawiające się kropelki potu. Herbata była tak pachnąca i pyszna, jakby studnię lub rzekę, skąd brali na nią wodę, anioły dotknęły swoim skrzydłem.

– Woda jest z naszego jeziora Sadak. Wciąż nie mam czasu na wykopanie studni – dodał Gabduł *abyj*, ocierając pot z czoła.

Weszła Guldżan *ebi*, zmęczona upałem przysiadła na łóżku.

Żegnając się, wyszliśmy na ulicę. Po wypiciu herbaty moja dusza stała się czystsza i jaśniejsza, całkiem jak po ciepłym letnim deszczu. Z nieba dobiegały urzekające trele skowronków. Jakim sposobem mieszkańcy zdołali opuścić tak piękną wioskę? Z pewnością nadal tęsknią za smakiem herbaty z samowara na węgiel, gdy śni się im i wzywa ich do siebie ginąca pod chwastami rodzinna ziemia...

Wdrapałem się na sam wierzchołek ogrodzenia zagrody i rozejrzałem. Cóż za piękno! Bosko! Łany zboża... Konie... Dobrze! Niesamowicie dobrze! Ech, jak pisał tatarski ludowy po-

eta Hamil Afzal, chciałoby się zanucić piosenki pełnym głosem! Wspiąwszy się jeszcze wyżej, śpiewać: „Świat jest piękny! Świat jest ogromny!”. Jednym tylko okiem zobaczyć by wioskę z góry niczym na dłoni.

3

Wycierając chusteczkami spocone twarze, Guldżan *ebi* i Gljuda *apa* wyszły na podwórko. Usiedliśmy w piątkę na ławce naprzeciw nowego domu. Zaczęliśmy rozmawiać.

– W roku 1930 przyjechałam tu jako panna młoda. Od tamtej pory ani razu nie zmoczyłam łapci – nie, nie mieliśmy powodzi – powiedziała z dumą i urazą Guldżan *ebi*.

W ten letni upał przypomniałem sobie zimowe mrozy i zapytałem:

– Mieszkacie tu zimą czy jak?

– Tak. Na niezbędne zakupy raz w tygodniu jeżdżę saniami do sąsiedniej wioski Jamały. Częściej latem. Czemu się dziwisz? – Gabduła *abyj* spojrzał na mnie pytająco.

– Kiedyś była tu cegielnia, na pełnych obrotach pracował zakład przetwórstwa oleju słonecznikowego, fermy królików i drobiu. Jak o tym pomyśleć, to dopiero się zdziwisz – rzekła Gljuda *apa*.

– Starsi opowiadali, że w roku 1914 wieś była zalana. Ludzie poruszali się na łódkach, zachodzili do siebie po drewnianych podkładach.

Słowa Guldżan *ebi* wywołały nowe pytania: jak to? Przecież w tamtych czasach nie było nawet mowy o wodnych elektrowniach?

Nie pamiętam, jak długo siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Wtem zagrzmiał ciągnik T-40 – to przyjechał Dilaris. Słońce skłaniało się już ku zachodowi. Zauważywszy kilka domków dla ptaków, zapytałem Gabdułę *abyja*:

- Czy przylatują tu szpaki?
- Wracają każdego roku wraz z nastaniem wiosny. O świcie zaczynają śpiewać swoje piękne, melodyjne pieśni...

Pożegnałem się ze wszystkimi i wyruszyłem w powrotną drogę (miałem do przejścia około 14–15 kilometrów). Postąłem chwilę nad rozciągającym się w pobliżu jeziorom Sadak, potem niespiesznie ruszyłem drogą. W ten sposób serce wioski, choć z trudem, ale bije, wioska oddycha, a to oznacza, że żyje. Tam, gdzie wracają szpaki, nie ma miejsca na pojęcie „zniknąć”.

Żegnaj, droga mojemu sercu, święta ziemio wsi Stary Semiostrow! Ale nie na zawsze! To moja pierwsza, chociaż nie ostatnia wizyta, niebawem zobaczymy się ponownie. Trwaj szczęśliwie, do zobaczenia wkrótce!

Epilog

To był koniec mojej podróży. Wieczorem, gdy wracało stado, udało mi się jeszcze odwiedzić *Cziber ape*²⁸, która mieszka w Jamały. A potem pokonałem pieszo jeszcze piętnaście kilometrów, nawet się nie zadyszawszy. O zmierzchu, o jedenastej, wróciłem do Taktalaczuka...

Dopóki żyją ostatni mieszkańcy wsi, Stary Semiostrow przetrwa, będzie żył razem z nimi! Czy można zapomnieć o takim pięknie, o tym malutkim kawałku wielkiej historii?

Tylko pieśń *Gajnijamal ebi*, pełna smutku i żalu, wciąż dźwięczy w moich uszach, budząc w trwodze nocami...

*Długo szłam do rodzinnego domu,
Aż się zmęczyłam na tej mojej drodze.
Przysiadłam – w myślach pograżyłam,
Poczułam, jak moje serce płonie ogniem...*

²⁸ *Cziber apa* (tat.) – pełen szacunku zwrot, dosłownie: Piękna Ciocia.

BAL BABAJ²⁹

– Córko, weźże tę moją modlitwę. Będzie dla ciebie pamiętką po mnie – z takimi słowami Bal Babaj wsunął w dłonie swojej wnuczki starannie złożoną na czworo kartkę papieru z arabskim tekstem, z poźółkłymi i nieco postrzępionymi krawędziami. – Wierz w Allaha, córko. On istnieje, Allah... Bądź prawdziwą muzułmanką, muzułmańskość to jedyna cecha, która pozwoli zachować tatarskość... No weź, mój dziadek napisał ją dla mnie w dzieciństwie. Dziewięćdziesiąt lat przechowuję jako pamiętkę po nim...

– Dlaczego tak mówisz, dziadku? Jeszcze się przecież spotkamy? – zdziwiła się Sylu, która przyjechała z wizytą.

– Kto wie...

– Nie, nie, dziadku! Niech takie myśli nawet nie przychodzą ci do głowy. Dobrze? – powiedziała dziewczyna i mocno objęła Bal Babaję. Do oczy Sylu napłynęły łzy, niepokój wkradł się do jej duszy...

Bal Babaj był już stary. Ostatnio sam zaczął często tak myśleć. Dziesięć lat minęło od śmierci jego żony. Bliskich krewnych też już nie ma. Mówią, że ten, kto pozostał sam, żyje życiem zmarłych – czyżby to była prawda? Wkrótce skończy dziewięćdziesiąt pięć lat... Przeminięły w radościach i smutkach, w niepokojach i zmartwieniach...

Podczas kolektywizacji doświadczył wypędzenia rodziny z rodzimej wioski, utraty ojca zabranego przez ludzi w „czarnych kapeluszach”, który zniknął na zawsze. Potem wybuchła

²⁹ *Bal* (tat.) miód, *babaj* (tat.) dziadek – dziadek Miód.

Wielka Wojna Ojczyźniana, dostał się wówczas do niewoli. Do domu, do ojczyzny powrócił jak na skrzydłach i jakaż rozpacz: został skazany na dziesięć lat więzienia. Wszystko to pozostawiło głębokie rany w sercu Bal Babaja. A jeszcze najstarsza córka, Nurłybika, wyszła za mąż za Rosjanina. Nie chciała słuchać ojca, zabrała się i wyjechała z niewiernym. Długo przeżywał to Bal Babaj, jego dusza chorowała, zamęczał się. Wreszcie wglądało na to, że się z tym pogodził, ale sercem nie przyjął, życzliwości nie okazał...

Ponownie zaczął kręcić się wśród uli, stojących naprzeciw jego domu. Zakładał na siebie śnieżnobiały chałat i równie białą siatkę na głowę. W rękach niezmiennie trzymał podkurzacz. Intensywny zapach zgniętego dymu rozchodził się po całym ogrodzie.

Bal Babaj – tak nazywano go w powojennych latach. Przeklęty jako wróg ludu, niewinnie skazany, powróciwszy do ojczyzny po dziesięciu latach udręki, nie mógł znaleźć pracy – nigdzie go nie chciano. Dlatego, gdy znalazł odłączony pszczeli rój, zajął się pszczołami. Tak znalazła się praca dla niego...

Tego jednak dnia Bal Babaj był w świetnym nastroju. Całkiem jak w młodości biegał od jednego ula do drugiego. Otwierał ul i rozmawiając z pszczołami sprawdzał plastry, a następnie, odmuchując pachnącym dymem, szybko zamykał pokrywę. Sam zaś podśpiewywał sobie przy tym i niewiele brakowało, aby zaczął tańczyć...

*Słodki jest miód i pachnący,
ale nie można go wiele zjeść.
Kocha tylko sobie podobnych
Niestrudzona pszczoła...*

Tymczasem Gulsum, która przyszła odwiedzić ojca, spoza płotu ze zdumieniem obserwowała Bal Babaja, zajętego nieopodal starej jabłoni. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, że ojciec

jest takim wesołym, radosnym człowiekiem! A tu okazało się, co w nim siedzi!

*Pszczola zbiera miód,
nie chwali się, że pyszny jest.
Odpędza osy i muchy
I z gzami się nie zadaje...*

Tak sobie podśpiewując, Bal Babaj wychodził z ogrodu, gdy spotkała go córka. „Jakby coś ojca poruszyło”, pomyślała.

– Ojcze, co robisz? Mój Boże, nic się nie stało?

– Nie, moja córeczko-gwiazdeczko, nic się nie stało. Zachciało mi się coś zaśpiewać.

Kochał Gulsum. Czy to dlatego, że była ostatnim dzieckiem, czy też z powodu podobieństwa do ojca była szczególnie bliska duszy Bal Babaja. Nurłybika wyjechała na Syberię i przepadła. Teraz nawet nie przyjeżdża... Jakże przyjedzie do ojca ze swoją Tanią i Żenią, które nie znają ani słowa w swoim ojczystym języku?!

Gulsum wyszła, gdy się ściemniło. Bal Babaj spojrzał jej w oczy i ze słowami „moja córeczko!” przytulił ją mocno. Stali tak długo, nie mogąc oderwać się od siebie...

– Dobrze, ojcze. Mówisz więc, że nie przyjdiesz na wesele Ilgiza? Jakby nie było ukochany wnuk... Mógłbyś przyjść...

– Raz powiedziałem, powtarzał nie będę. Nie znaczy nie...

– W porządku, sam wiesz, ojcze. Bądź zdrow. Jutro znów przyjdę, odwiedzę cię...

– Żegnaj, moja córeczko-gwiazdeczko...

Kiedy Gulsum wyszła za bramę, Bal Babaj odprowadził ją wzrokiem. Potem, ciężko wzdychając, powstał nieco, aż wreszcie wszedł do domu. Przez długi czas chodził z pokoju do pokoju. Nie bacząc na to, że na dworze była już północ, raz jeszcze przesunął wzrokiem po ulach. Na całym świecie panowała niesamowita cisza. Bodajby poruszył się choćby jeden liść. Bodajby rozległ się choćby jeden dźwięk...

– Śpią... Wszyscy słodko śpią... – powiedział do siebie. Z całej duszy chciał się uśmiechnąć, ale oczy nie zdołały...

*

Następnego dnia rano Gulsum znowu pośpieszyła do ojca. W sercu czuła jakiś chłód, niezrozumiałą pustkę. „Może ojciec zmieni zdanie. Przyjedzie na ślub Ilgiza i Olgi. Pobłogosławi ich...” – pomyślała.

Drzwi były otwarte. W domu panowała zimna cisza. Dziwna cisza... Gulsum, jak zamroczona, pośpiesznie obeszła wszystkie pokoje, ale nie mogła znaleźć ojca. W pokoju na stole leżała starannie złożona na czworo stara kartka papieru z pożółkłymi krawędziami. Na niej tylko kilka słów: „Wybaczcie. Nie mogę znieść...”.

W tejże chwili serce Gulsum jak gdyby oderwało się i potoczyło po zimnej podłodze. Oczy zaszyły jej łzami, usta zadrżały. Nie zdołała wypowiedzieć ani słowa... Na starej jabłoni, która rosła naprzeciw okna, wisiało coś podobnego do ludzkiego ciała. Tylko pszczoły, brzęcząc, krążyły wokół, jakby chciały mu coś powiedzieć...

DWIE HISTORIE

Przychodzą mi do głowy dziwne myśli, przypominają się różne historie, czasem całkowicie ze sobą sprzeczne. Ale takie jest życie i wszystko może się w nim wydarzyć – ciemne i jasne, gorzkie i słodkie. Jak komu wypadnie...

1

Jesień. Koniec października. Magiczny, wyjątkowy dzień. Deszcz lał, lał i siedem razy obmył brzydkie jesienią ulice Kazania. Z nieba cichutko spadają śnieżne gwiazdeczki i zaścielają miasto. Jakże pięknie! Samo patrzenie na to jest przyjemnością!

Parkową alejką spacerują młodzieniec i dziewczyna. Droga przed nimi rozdziela się na dwie ścieżki – prawą i lewą, prostą i krętą.

– Zatrzymajmy się tutaj – mówi nieoczekiwanie Galija.

– Coś się stało? – pyta zaskoczony Halil.

– Myślę o naszej przyszłości – opowiada dziewczyna jakos chłodno i beznamiętnie. – Martwi mnie ona.

– Kocham cię. Co jeszcze? Na pewno będziemy szczęśliwi. Jeśli Allah pozwoli, pobierzemy się latem. Tak czy siak kończymy już czwarty kurs.

– Nie wyjdę za ciebie – oznajmia zdecydowanie.

– Co?!

– Zastanów się, Halil, co ty posiadasz? Nie masz samochodu, nie masz mieszkania. Choćby jednopokojowego... Rodzice biedni. Po rosyjsku nazywa się to „Ani kołka, ani zagrody”. Myślę,

że miłość wcale nie jest najważniejsza. Rodzice nie po to mnie wychowywali, abym oczarowana przez dżygita mordowała się przez całe życie, usiłując osiągnąć jakiś dostatek. Nie możemy być razem...

Halilowi wydaje się nagle, że z niebieskiego zamglonego nieba poleciała czarna sadza. I od głowy do stóp oblepiła Galiję. Twarz, ubranie... Nawet jej niebieskozielone oczy stały się czarne.

Na lewo od drogi przy luksusowym samochodzie stoi Ismail, sympatyczny chłopak w eleganckim ubraniu.

– Galija, gdzie jesteś? – woła przez śnieżną mgłę. – Idziesz ze mną czy nie?

– Zaraz, zaraz – odpowiada dziewczyna i spogląda na pobladłego Halila. – Nie jestem Angielką i nie mam zwyczaju znikać bez pożegnania. Wybacz, Halil, odchodzę. Twoją Galiję czeka wygodna przyszłość – rzuca z uśmiechem i podbiega do Ismaila.

Wsiadają do samochodu i znikają ze srebrzystym wichrem.

Halil został na skrzyżowaniu. Zawsze był przekonany, że dżygici nie płaczą. On także nie płakał, jedynie jak szalony zapadł się w swój smutek. Było mu źle. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Rozejrzał się martwym, wygasłym wzrokiem. W tym momencie wydawało mu się, że życie już się skończyło i niczego dobrego nie może w przyszłości oczekiwać. Skierował puste spojrzenie na krętą ścieżkę, która skręcała w prawo. Wiedział, że kończy się głębokim parowem, prawie przepaścią. Skierował się tam bez zastanowienia. Oto, całkiem blisko, jest wybawienie. Piętnaście kroków... Dziesięć... Zaraz wszystko się rozstrzygnie, ziemia weźmie go w swoje objęcia.

Pięć kroków... Niech wszystko przepadnie! Trzy, dwa... Pół kroku...

Naraz rozległ się sympatyczny dziewczęcy głosik:

– Zatrzymaj się, co robisz?!

Kto to? Jednak nie mógł się już zatrzymać... Było za późno. Halil poleciał w dół... Ale serce nagle się zbuntowało, znowu zapragnął żyć. Młodzieniec uczeplił się rury wystającej ze strome-go zbocza i spojrział pod nogi. Parów wydawał się nie mieć końca. A na dnie zalegały stosy złomu, ogromne kamienie... Ach, jak bardzo chce się żyć!

Halil podciągnął się na rurze jak na gimnastycznym drążku i wyczołgał na zaśnieżoną przestrzeń. Nie zobaczył jednak żadnej dziewczyny, chociaż w uszach wciąż dźwięczał mu jej delikatny głos. Kim była? Rajska hurysą, aniołem stróżem? Kimkolwiek by wszakże nie była, najważniejsze, że żył! Żył! Młodzieniec otrzepał się z ziemi, przeszedł krętą dróżką, potem prostą aleją i niebawem zagubił się w śnieżnej mgle.

2

Przez malutkie, na wpół zamarznięte okienko pochylonego domu z bali stara Karima *ebi* obserwowała wolno spadające płatki śniegu. Żegnała się dzisiaj ze swoją osiemdziesiątą jesienią. Staruszka sięgnęła do zakurzonej skrzyni i wyciągnęła zeszyt, w którym już w młodości robiła notatki. Dziennik prawie się nie zmienił, nawet nie pożółkł po tylu latach. Przeglądała stronicę, posmutniała i ponownie podniosła załzawione oczy na okienko.

Stara kobieta przypomniała sobie czasy, gdy auł tętnił życiem. Tak wiele było w nim wówczas młodzieży! Stary Apsalam, którego już od dziesięciu lat nie ma na świecie, dorastał w tym domu. Karima miała osiemnaście lat, gdy przyprowadził ją tutaj z sąsiedniego domu. Zgodnie im się żyło z Apsalamem, wesoło krzątała się po gospodarstwie. Ośmioro dzieci się urodziło jedno po drugim. Dobrze było. Malutkie dzieci dojrzały, wyrosły im

skrzydła i zaczęły odlatywać do miasta, które – niczym ul – po brzegi było wypełnione ludźmi. Nawet ostatnie, najmniejszy synek, nie chciało zostać. Opuścił ojca i matkę, porzucił rodzinny dom, w którym urodził się i wyrósł, zostawił taką piękną rzekę Agidel z jej krętym nurtem, Kaszłakski las, złote pola żyta... Jak można zamienić to boskie piękno na cokolwiek innego! A rozległe łąki łęgowe, pastwiska? Nie sposób zrozumieć dzieci. Czego im brakowało? Gdyby choć któreś z nich odwiedziło starą matkę, zainteresowało się, jak żyje. Karima *ebi* jest samotna, bardzo samotna. Nie ma ani sąsiadów, ani krewnych. Tylko ten cmentarz, gdzie spoczywa jej Apsalam, matka z ojcem i dziadek z babcią.

Przez ponad osiemdziesiąt lat z komina domu, który zapadł się w ziemię, nieprzerwanie unosił się pachnący dym. Teraz wszystko się skończyło. Nikt już nie będzie wiedział, jak przyjemny był zapach dębowych polan, palących się niegdyś w piecu...

CHUSTECZKA

Z irytowany Gamil wbiegł do swojego domu, gwałtownie trzaskając drzwiami. Kilka razy przechodził obok domu Nafisy, ale jej nie spotkał. A tak bardzo, wręcz rozpaczliwie, pragnął zobaczyć ją przynajmniej kątem oka. Wczoraj spotkali się przy źródle, ale porozmawiać się nie udało. Rozmowa wcale się nie kleiła. Stali tylko, patrząc na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć, aż dziewczyna odezwała się zmieszana: „Pójdę. Mama pewnie już myśli, że się zgubiłam”.

Pomimo wczorajszej porażki znowu zaczął tęsknić. Co też się z nim porobiło? Czyżby to była miłość? Nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o niej, o swojej Nafisie. Jej oczy, czarne jak węgle, długie, niebieskawo-czarne włosy, czyniące ją podobną do Baszkirki, tajemniczy uśmiech, spojrzenie, od którego kręciło się w głowie. Wygląda na to, że ta miłość uwiła w duszy młodzieńca gniazdko, gdzie są tylko we dwoje – on i ona.

Gamil zapragnął pozachwycać się chociaż chusteczką z wyszytym kwiatem tulipana, prezentem od Nafisy. Otworzył drzwi szafy... Czekaj no, gdzie jest chusteczka? Przecież dopiero co ją wyprał i wyprasował tak, że nie została na niej ani jedna zmarszczka, i włożył do kieszeni białej koszuli. Młodzieniec przewrócił szafę do góry nogami. Chusteczka zniknęła. Szukał w kufrze, w nocnej szafce... Co jest?! Własnymi rękami włożył bezcenny prezent od Nafisy do kieszeni! Chusteczka była dla niego taka cenna!

Zaczął rozglądać się po domu. Na regale z książkami chusteczki także nie było. Rzucił się do Galiji, swojej starszej siostry:

– To ty wzięłaś moją chustkę? Gdzie ją dałaś? – krzyknął.

Naskakiwał na siostrę niczym rozwścieczony kogut, nie zwracając uwagi na jej słowa:

– Skąd mam wiedzieć, gdzie jest twoja chustka?

Skończyło się na tym, że złapał maszynę do szycia niewinnej siostry i rzucił ją na podłogę. Ale chustki i tak nie znaleziono.

Gamil czuł się tak, jakby skradziono mu serce. Jego dusza była pełna goryczy. Gdzie iść, gdzie szukać? Nie miał już żadnego pomysłu...

Wreszcie nie wytrzymał, wszedł na strych i leżał tam bez ruchu przez długi czas. „Jakże to tak?! Przecież własnymi rękami włożyłem ją do kieszeni. Taki bezcenny prezent od ukochanej!”.

Półtora roku później Gamil i Nafisa pobrali się. Byli szczęśliwi. Urodziła się ich pierwsza córka. Pewnego dnia Nafisa zaszła do sąsiadki, Hajat *apy*. Jej córka opuściła aul następnego dnia po ślubie Nafisy z Gamilem. Mówili, że mieszka i pracuje czy to w mieście, czy to gdzie indziej. Hajat *apa* przed rokiem wzięła od nich drewnianą beczkę na miedowuchę³⁰ i do tej pory nie zwróciła. Nafisa poszła właśnie po nią.

Pod zatyczką w beczce młoda kobieta zobaczyła jakąś pożółkłą szmatę. Wyciągnęła ją... Był na niej wyszyty kwiat tulipana! Oto gdzie znalazł się jej prezent, który niegdyś tak tajemniczo zniknął Gamilowi.

³⁰ *Медовуха, miedowucha* – rosyjski niskoalkoholowy (5–10%) napój z wody, miodu i drożdży (przyp. tłum.).

MALINY

W samym środku lata, w lipcu tego roku, zrobiło się nagle chłodniej. Wszystko zmieniło się z dnia na dzień. Natura wcześniej naciągnęła na siebie jesienne okrycie. Ciemne chmury przesłoniły gorące promienie słońca. Przez cały dzień wiał przenikliwy wiatr, a nocami nieustannie padały zimne deszcze. Płot ogrodu i okienne framugi wybrzuszały się od nadmiaru wilgoci. Maliny na podwórku, zawsze takie duże i soczyste, zmarniały, skurczyły się z zimna. Nie chcąc rozstać się z krzakiem, jakby wcisnęły się w niego, jakby utknęły.

– Córka sąsiadki Ilgizy jest chora – powiedziała z westchnieniem matka Zufara, przychodząc do domu z obory, gdzie doiła krowę. – Przedwczoraj mieliśmy dzień trzody. No i tak, wracając z pastwiska, dziewczyna została złapana przez deszcz. Biedaczka przemokła do suchej nitki. W dodatku jej mamy nie ma w domu.

Że jak? Córka sąsiada? Gulfija, czy co? Nie od razu zdał sobie sprawę, o kim mówiła mama.

– Mamo, o kogo chodzi?

– Przecież o Gulfiję, synku.

Zufar wstrzymał oddech. Poczul, że silniej zabiło mu serce, a po plecach przebiegły dreszcze...

Córka sąsiada ... Kędzierzawa, czarnooka Gulfija. Najpiękniejsza dziewczyna na ich ulicy, w szkole, a nawet w całym aule. Wydaje się, że jej czarne oczy promieniują boskim światłem niczym poranny świt! Zufar uwielbia patrzeć na nią podczas lekcji, wpatrywać się w jej zamysłone oczy, nie słysząc wcale wyjaśnień nauczyciela.

Ach, te jej oczy! Cały świat rozjaśniły blaskiem.

Zufar był już prawie dżygitem. Chwycił duży kubek i wybiegł na podwórko. Szybko poszedł na tyły domu, gdzie rosną ich maliny.

Słońce skrywało się już za wyblakły horyzont. Słysząc było, jak w oborze stara, zadowolona z życia krowa spokojnie przeżuwała swoją paszę; jak hałaśliwie wzdychała młoda krowa, za dnia nachodziwszy się w stadzie, jak dobiegały głosy owcy...

Długo krzątał się Zufar przy krzakach malin. Owoce pospadały, pozostałe drobiazgi były wodniste i niesłodkie.

Serce chłopca ścisnęło i nie opuszczało niepojęty chłód. Tracił już nadzieję na zebranie dobrych malin, gdy nagle, pod jabłonią, znalazł to, czego szukał. Krzewy malin ukryły się pod drzewem i rosły, przylegając do konarów. Rozchylając gałęzie, Zufar znieruchomiał ze zdziwienia: duże owoce wypełnione sokiem, gotowe w każdym momencie spaść na ziemię. A ile tu śnieżnobiałych kwiatów, zakwitłych podczas letnich upałów i bezpiecznie ukrytych przed oddechem niespodziewanej jesieni! To jabłoń ocaliła je w swoich ciepłych objęciach.

Zufar nieśmiało otworzył furtkę w ogrodzeniu domu Gulfiji. Podczas upału skrzypiała niemiłosiernie, a teraz nie wydała nawet dźwięku. Czyżby dlatego, że zdrowie Gulfii było zagrożone?

W domu panowała cisza. Bokser, którego miejsce znajdowało się na podłodze, rozłożył się na twardym krześle i milczał. Ustawione na parapetach kwiaty pelargonii wyglądały smutno.

Rozległ się powstrzymywany jęk. Zufar pospieszył mu na spotkanie.

W pokoju z czystymi tiulowymi zasłonkami w oknach w śnieżnobiałej pościeli, tonąc w puchowej poduszce, leżała pod watowaną kołdrą Gulfija. Dziewczyna wydawała się wychudła i blada. Jej krótkie loki rozrzucone były po poduszce.

Powoli uniosła powieki.

– Jak się czujesz, Gulfija? – zapytał Zufar drżącym głosem.
– Do-o-o-brze... – przeciągnęła dziewczyna, chociaż wcale tak nie było.

– Gulfija, zebrałem dla ciebie trochę malin...

– Skąd je wzięłeś? U nas ... dawno już... zmyte przez deszcz... – powiedziała cicho.

– Podobnie jak nasze. Te jagody nie są zwykłe, ale magiczne. Chronią przed wszystkimi chorobami. Spróbuj, sam się przekonasz. Są tego samego koloru co twoje usta, kiedy byłaś zdrowa.

Dziewczyna spojrzała na niego, jakby pytając: „Naprawdę, czyżby?”. Uśmiechnęła się i podniosła jedną malinę do ust.

W tym momencie ktoś wszedł do domu. Był to ojciec Gulfiji.

– I tak się zastanawiam, któż to nas odwiedził? Okazuje się, że ty, braciszku – powiedział, podchodząc do córki i kładąc dłoń na jej czole.

Przed wyjściem Zufar dotknął gorącymi ustami jej lekko zaróżowionego policzka i rzekł:

– Wracaj do zdrowia. I zjedz maliny. Koniecznie zjedz...

Nie zdążył dopowiedzieć, gdy pojawił się ojciec z kubkiem gorącego mleka.

Gulfija odprowadziła Zufara długim spojrzeniem spod ciężkich powiek.

Rano, kiedy słońce delikatnie pieściło zaróżowioną twarz Gulfiji, czuła się już dobrze. Jej promieniste oczy otworzyły się całkowicie. Niebawem powinna też wrócić z miasta mama, a pogoda wydawała się poprawiać. Dziewczyna odrzuciła kołdrę i wstała. Podchodząc do lustra, zobaczyła na stole garść dojrzałych, słodkich malin, które zostały po wczorajszym poczęstunku.

Magiczne, uzdrawiające jagody!

PASEK

Wieczorem, po powrocie ze szkoły, Ajrat zobaczył czarny pasek, leżący na taborecie w przedpokoju. „Czyżby Lucija *apa*, matematyczka, zdążyła już naskarżyć ojcu?” – pomyślał przestraszony. Chłopiec postawił tornister na podłodze, powiesił kurtkę na haczyku, zdjął buty. Zmienił się na twarzy. A wszystkiemu winna była ona, dwója, którą dzisiaj podłapał. Znaczy się, ojciec wszystko już wie, nawet przygotował pasek, tak podobny do żmii. Dlaczegoż Ajrat nie odrobił lekcji? No tak, codziennie wyświetlany w telewizji film akcji... Niepotrzebnie nie posłuchał mamy. Trzeba było rozwiązać zadanie, tym bardziej, że wydawało się łatwe.

Ajrat, jak zaczarowany, nie spuszczał oczu z paska. Przeniósł wzrok na zegar na stole, na drzwi. Zaraz powinien wrócić ojciec, on zaś nie może ruszyć się z miejsca, jakby nogi przykleiły mu się do chodnika. W jego czarnych oczach zastygł niepokój. Chłopiec drżał przy każdym skrzypieniu. Gotów był zapaść się pod ziemię, aby tylko nie spotkać się z rodzicem.

Na zegarze za dziesięć czwarta. Zaraz wróci ojciec i sprawi mu lanie. Obiecując, że kupi na lato nowy rower, wyraźnie powiedział, że spełni swoją obietnicę tylko wtedy, gdy Ajrat będzie dobrze się uczył. A teraz nadal przyjdzie biegać za chłopcem od sąsiadów i dopraszać się. Żegnaj, marzenie!

Drzwi otworzyły się. Ajrat, usłyszawszy za plecami ciężki oddech ojca, zbladł jeszcze bardziej. Bał się odwrócić, jakby stał za nim nie ojciec, a straszny upiór. Wreszcie spojrzał na rodzica okrągłymi z lęku oczami.

– O! Już jesteś w domu, synku! Coś się stało? – zapytał ten, patrząc na syna. – Dobrze się czujesz?

Chłopiec milczał.

– Przyjechał do nas dziadek w gości! Zatrzymał się na podwórku, ale zaraz przyjdzie...

Ajrat nie rozumiał ani słowa, słyszał ojca jakby we śnie. Nie spodziewanie dla siebie rzucił się ku niemu, wybuchnął płaczem i zaczął prosić o wybaczenie:

– Tato, przepraszam, nie gniewaj się! Poprawię tę dwójkę, będę słuchał się starszych...

Wchodzący właśnie dziadek zapytał zdziwiony:

– Co tu się dzieje? Jakaś mucha ugryzła naszego chłopczyka? No, bohaterze, jak leci? – Zobaczywszy pasek, siwowłósy dziadek zawołał ucieszony: – Leży tu sobie, a ja go szukam! Muszę szybko włożyć w spodnie, bo spadają mi bez paska – dodał.

Ojciec nie skarcił syna, a nawet pogłaskał po głowie.

– Cóż, synku, ależ z ciebie głuptas – powiedział. – Mam nadzieję, że więcej się to nie powtórzy...

Ajrat uspokoił się, ale i tak wstydził się spojrzeć ojcu prosto w oczy.

SPOTKANIE

Dzień nastał mroźny, zanosilo się na zamieć. W taką pogodę nawet psa nie uświadczysz na ulicy. Nie było ratunku przed zimnym przenikliwym wiatrem.

Ilham, kazański student, zdał egzaminy na same piątki i wyruszył do siebie, do aulu. Przyszedł na dworzec godzinę przed odjazdem autobusu. Jego bagaż, naładowany pustymi słoikami, ubraniami i rozmaitymi prezentami dla rodziny, wydawał się ogromny, chociaż ciężki nie był.

Młodzieńcowi humor dopisywał. W minionym roku ukończył szkołę, dostał się na wymarzony uniwersytet, a teraz, gdy po noworocznym święcie zdał wszystkie egzaminy, wyrwał się wreszcie na wolność. Przed nim trzy tygodnie wakacji, w aule czekała już na niego rodzina: ojciec, mama i siostry.

W autobusie usiadł obok około trzydziestopięcioletniego mężczyzny. Zaczęli rozmawiać. Okazało się, że Fansijar, bo tak miał na imię jego towarzysz podróży, przed dziesięć laty ukończył ten sam uniwersytet i pracuje w swojej specjalności. Jechał do sąsiedniego aulu, aby odwiedzić chorą matkę.

– Pewnie stęsknił się pan za domem? – zapytał Ilham.

– Jak nie tęsknić, skoro nawet telegraficzne słupy wzywają do powrotu – Fansijar odpowiedział słowami znanej tatarskiej pieśni ludowej.

Przez krótki czas panowała cisza. Słyszać było jedynie warkot pędzącego trasą autobusu.

– Stypendium wypłacają? – zainteresował się sąsiad.

– Tak, płacą... Uczę się na piątki, a na rękę dostaję tylko cztery setki. Połowa idzie na bilet autobusowy, a druga ledwo starcza na tydzień. Dobrze, że rodzice przysyłają... Krótko mówiąc, aby student mógł normalnie żyć, potrzebuje do półtora tysiąca na miesiąc – powiedział Ilham.

– Tak, teraz nie te czasy, co dawniej. Aby wygodnie żyć, wystarczyło nam całkowicie czterdzieści, pięćdziesiąt rubli... Sporo podróżowaliśmy. Wystarczało nawet na zagranicę. Ja na przykład byłem w Taszkencie i na Krymie. Mieliśmy pieniądze, samoloty kilka razy dziennie, bilety kosztowały nie tyle, co obecnie... Udało ci się zobaczyć jakieś miasto? Mam na myśli poza Tatarstanem?

– Jak na razie nie...

– Kiedyś bardzo się staraliśmy, uczyliśmy się, aby jak najwięcej wiedzieć. A teraz wygląda na to, że wszystko zależy od pieniędzy. Tak?

– No tak, okazuje się, że tak, Fansijarze *abyj*. Nie powiodło się zaliczenie, nie zdało się egzaminu, trzeba się wykosztować. Rzeczywiście, jeśli regularnie chodzi się na zajęcia i ma głowę na karku, to w przypadku trudności tak szybko nie pogrążają. Widać wystarcza im tego, co ściągają z bogatych synków.

– Tak, bracie mój, Ilhamie, z wiedzą teraz zupełna nędza. Nasze życie ogarnęła ciemnota. Całe zaś nieszczęście w tych pieniądzech. Czasem nawet na chleb brakuje... – westchnął sąsiad.

Chwilę milczeli, tymczasem autobus mknął jak wściekły gdzieś do przodu.

– Ilham, mieszkasz w akademiku?

– Nie-e-e... – odpowiedział przeciągle młodzieniec, jakby chciał powiedzieć: „Niech mnie Allah chroni!”

– Dlaczego?

– Teraz w ogóle nie ma nikogo, kto chciałby urządzić się w akademiku. Tam panuje takie zamieszanie, że nie sposób się

czymkolwiek zajmować. Kompletne piekło! Znacznie lepiej wynajmować mieszkanie, chociaż to więcej kosztuje. Ale spokojnie na duszy.

– To tak... Kiedy my studiowaliśmy, to w akademikach panował wręcz idealny porządek. A jakie uroczce dziewczyny w nich mieszkały... Ach! Było się kim zachwycać!

– Obecnie w akademikach nie ma porządných dziewcząt. Może tylko kilka. Większość pije razem z chłopakami, pali, reszta jest jasna... Jak się mają uczyć, skoro całe noce spędzają na dyskotekach? Wracają o piątej rano, a już o ósmej zajęcia... Czy pracę, Fansijarze *abyj*, łatwo było znaleźć? – zainteresował się Ilham.

– Z tym akurat nie było żadnych trudności. Ludzie naszego zawodu są potrzebni również teraz. Tak więc, bracie, drzwi przed tobą będą otwarte, tylko ucz się, staraj.

– Ale jak?

Ilham zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale sąsiad przerwał mu:

– Zastanawiam się, jak wyobrażasz sobie swoją przyszłość?

– Muszę jeszcze skończyć studia...

– No jasne. Powiedzmy, że już skończyłeś i zacząłeś pracować.

– Oczywiście robiłbym wszystko sumiennie. Z czasem kupiłbym mieszkanie, samochód, założył rodzinę.

– No cóż, rodaku, wydaje się, że nie jesteś beznadziejnym malcem. Po prostu trzeba się dobrze uczyć, nie żyć wyłącznie dzisiejszym dniem. A jak tam docent Safiullin, jeszcze pracuje?

– O, ten? Uczy i odchodzi raczej nie zamierza, chociaż od dawna już jest na emeryturze.

– Pewnie, taki swojego miejsca młodym nie odstąpi. Jeszcze za moich czasów mówił, że wybiera się na odpoczynek.

Autobus cały czas pędził i pędził jak szalony koń.

– Tak to jest – pomyślała sobie siedząca obok osiemdziesięcioletnia staruszka Guljuzum, poprawiając w uchu aparat słuchowy. – W naszych czasach człowiek z podstawowym wykształceniem uważany był za piśmiennego, wielkiego znawcę. O nauce w mieście nie mogliśmy nawet marzyć... Młodzi ludzie są teraz szczęśliwi: uczą się i uczą dla swojej przyjemności, mają wszelkie możliwości. I książek dużo, i wszelkich uniwersytetów – idź do którego chcesz, jeśli tylko masz w rękach pieniądze... Nie musicie doświadczać tego, co nam przypadło w udziale. Czy współcześni ludzie mogą sobie wyobrazić, przez co przeszliśmy, jakie brzemień nieśliśmy na swoich plecach? Zresztą nie musicie o tym wiedzieć.

A autobus bezustannie rwał do przodu, spieszył się, nie bacząc na nieprzeniknioną zamieć i niepogodę...

LIST

(Smutna opowieść)

Był smętny jesienny dzień. Z drzew spadały pożółkłe, buschnięte liście. Porwane przez wiatr, wirowały w powietrzu pod rzadkimi kroplami zimnego deszczu i spadały na ziemię. Wydawało się, że ze smutkiem patrzą w niebo, żałując: „Ech, a przecież mieliśmy szczęśliwe dni i zanurzyliśmy się w oceanie marzeń...”.

Początkowo przychodziła na cmentarz codziennie. Mówiąc coś, szlochała i szlochała cicho nad tym samym grobem. Przechodnie gapili się na nią: „Co za dziwaczka! Najwyraźniej z żalu kompletnie oszalała”. Ale byli też tacy, którzy ubolewali: „Biedactwo, taka młoda. Co się stało? Kogóż ma tam, w grobie?”. Byli gotowi podejść, pocieszyć, ale coś ich powstrzymało i przechodzili obok.

Mieszkam niedaleko i czasem zdarzało mi się przechodzić obok tego cmentarza. Także dzisiaj, w deszczowy jesienny dzień, pomimo mżącego deszczu i przeszywającego chłodu, jak zawsze była na swoim miejscu. W prostej kurtce, długiej czarnej spódnicy, czarnej chustce i nie wiadomo dlaczego w żółtych pantoflach.

Podszedłem do niej, zapytałem niepewnie, jak się czuje. Kobieta spojrzała na mnie dziwnie i nagle się uśmiechnęła, jednak natychmiast smutek powrócił na jej twarz. Być może dlatego, że wiedziała, kim jestem, albo poczuwszy do mnie zaufanie (a najpewniej po to, abym sam znalazł odpowiedź na swoje nieme pytanie), dała mi kartkę z napisem: „Przeczytaj dopiero po powrocie”.

W domu ostrożnie sięgnąłem po złożoną poczwórną kartkę. Nagle przez moje ciało przebiegło jakiś ciepło... Rozłożyłem. Tak, to był list...

Witaj, Najdroższa! Jak się czujesz, moja piękna?

Pisze do Ciebie Ilham, który kocha Cię bezgranicznie. Jak się masz, Kochanie? Co robisz? Czy myślisz o mnie, nie zapomniałaś, moja jaskółeczko?

Wyszywaną chustkę, którą dałaś mi, odprowadzając do woj-ska, troskliwie noszę w kieszeni na piersi. Chociaż zerwaliśmy rok temu, moje uczucia do ciebie nie ostygły. Wręcz przeciwnie, kocham cię bardziej niż przedtem!

Spędzone tu minuty są jak godziny, godziny jak dni. Myślę o tobie, wyobrażam sobie twój delikatny wizerunek, wtedy dni mijają szybciej. Zarówno mnie, jak i tobie nie jest lekko, ale obojętnie jak byłoby nam ciężko, bądźmy cierpliwi, moje szczęście, aby kolejny rok rozłąki był przyjemniejszy. Tęsknię za Tobą, bardzo, bardzo tęsknię!

Czy pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Myślę, że pamiętasz. Czy można o czymś takim zapomnieć?!

Szedłem ulicą, a ty wracałaś od źródła. Twoje wiadra były pełne czystej wody. Zobaczyłem cię, moje serce zadrżało i zabiło mocno. Nie rozumiałem, jak mogłem dotąd nie zauważyć tak miłej, pięknej dziewczyny? Jak mogłem przechodzić obok?! Nawet teraz widzę twoje błękitne oczy, rude włosy, właściwy tylko dla Ciebie zagadkowy wygląd, zamysłony uśmiech. Od tego momentu pogrążyłem się w płomieniu miłości. Pragnienie zobaczenia mojej piękności każdego dnia, każdej godziny prowadziło mnie tam, gdzie Cię spotkałem. Kiedy dowiedziałem się, że także mnie kochasz, moje szczęście nie miało granic! Podniosło mnie do siódmego nieba! Nie było na świecie ludzi szczęśliwszych od nas! Czyż nie?

Myślę o Tobie nocami, patrząc w rozgwieżdżone niebo, i zaspam w słodkich marzeniach... Spotkamy się z Tobą we śnie... Ty, w powiewającej na wietrze błękitnej sukience, zbliżasz się ku mnie

drobnymi krokami. „Ilham, kocham Cię, bardzo, bardzo Cię kocham! Kiedy, Najdroższy, wrócisz?” – szepczesz do mnie. Ja zaś odpowiadam: „Alsu, ptaku mojego szczęścia, ja także bardzo Cię kocham!”. W tej chwili nie ma par szczęśliwszych od nas... Czyż nie?

Dobrze, do widzenia, Najmilsza. Pisz do mnie listy, moja miłości. Będę czekał.

Twój Ilham, który całkowicie stracił głowę z miłości do Ciebie.

Następnego dnia zwróciłem list właścicielce, ale nie dopytywałem się, jak zginął dżygit. Nie chciałem wyrwać cierpiącej kobiecie duszy i przywracać jej światu zmartwień i udręk.

Od tamtego czasu minęły lata, ale nie zapomniałem o zapłakanych niebieskich oczach i smutnej twarzy. Nadal bardzo mi jej żal. Czasem rozglądałem się za nią, chcąc pocieszyć. Ona jednak odeszła. Dwa groby znajdują się obok siebie. A dwie młode brzozy, pomimo brzydkiej jesiennej pogody, deszczu i śniegu, nadal, jakby się umówiły, zwracają na siebie uwagę, nie chcąc rozstać się ze swoim zielonym strojem.

SIKORKA

Pokój w akademiku, w którym mieszkała Sara. W okno zaglądało pochmurne październikowe słońce. Patrzyło z ukosa poprzez gałęzie wysokich, ubranych w żółte sukienki brzoź, ale nie naruszało ich piękna. Było skąpe w kontaktach i nie spieszyło się z okazywaniem uczuć. Ukrywało je skrętnie albo też nagromadzone smutki nie pozwalały na ich ujawnienie. Jednak wewnątrz słońca gorzał płomień, chociaż na zewnątrz wyglądało tak, jakby się w nim nic nie działo. No i spróbuj tu zgadnąć, co miało na myśli...

Słońce świeciło, ale na ulicy panowało zimno. W pokoju natomiast ciepło, ale wystarczyło wychylić się na zewnątrz, aby jesienny wiatr natychmiast zaczął kąsać.

Widok z okna był zaskakujący: osiki nieomal zrzuciły swoje okrycie. Tylko gdzieś tam samotne listki jeszcze trzepotały w podmuchach wiatru. Liście klonów wciąż kłóciły się z jesiennymi wiatrami. Nie poddały się im i wszystkie jeszcze tkwiły na swoich miejscach, chociaż nieco zeschły i pożółkły. Widać, że wielkie było w nich pragnienie życia. Także brzozy nie spieszyły się ze zdejmowaniem wspaniałego futra. Nie każdemu przecież dane bywa takie niezwykle piękno. Piękny był zielony strój brzoź, ale żółty również miał swój urok. Ten ostatni mimowolnie przyciągał pełne podziwu spojrzenia, gdy w promieniach słońca przeobrażał się w czyste złoto. Bolały wręcz oczy od patrzenia na taką wspaniałość.

Połowa października. Jesień królowała na całym.

Sara była sama. Przyjaciółki z pokoju od rana miały zajęcia w bibliotece, ona zaś została. Nie chciała tam pójść. Coś powstrzymywało ją w domu, dręczyły jakieś niedobre przeczucia.

Patrząc na przygnębione brzozy, rozmyślała nad wieloma sprawami, pogrążywszy się w złotym żywiole jesieni. Wzrok Sary zatonął w pożółkłych liściach, a myśli opanował jesienny smutek.

Wtem uwagę dziewczyny przyciągnęło jakiś tajemnicze ćwierkanie. Wzdrygnęła się, oderwała wzrok od liści i zaczęła wypatrywać śpiewaka. I oto on – malutka sikorka, która przysiadła na zewnątrz na ramie okna. Sara uspokoiła się, gdy zobaczyła ptaka. Ich spojrzenia się spotkały. Zarówno sikorka, jak i dziewczyna patrzyły na siebie, bojąc się ruszyć.

Sara doznała dziwnego wrażenia: wyczuła w spojrzeniu ptaka jakiś zrozumiały dla niej smutek, ciepło, a nawet miłość. Gdzie ona widziała podobne smutne czarne oczy? Są one tak jej bliskie, tak drogie... Dziewczyna zmartwiła się, że ptak zaraz zatrzepocze skrzydełkami i zniknie na zawsze w niebieskim przestworze nieba.

– Cześć, ptaszku! Pewnie jesteś głodny? – zapytała Sara, ocknąwszy się. Zebrała ze stołu okruchy chleba, otworzyła okno i wysunęła dłoń. Początkowo sikorka była jakby zawstydzona i podejrzewając sztuczkę poleciała na gałąź brzozy.

– No gdzie lecisz? Chodź tu, skarbie! Przecież chcesz jeść. Teraz tak zimno. Bardzo, bardzo zimno – gruchała Sara.

Sikorka przefrunęła na sąsiednią gałąź, uspokoiła ją łagodny głos dziewczyny. Nagle przeleciała na dłoń dziewczyny, złapała większy okruch i poleciała na wierzchołek drzewa. Powtórzyło się to kilka razy. Sara obserwowała ją, wstrzymując oddech, aby jej nie przestraszyć... Sikorka zaskoczyła Sarę: znowu opuściła gałąź i poleciała na dłoń dziewczyny. Czyżby chciała podziękować? Ich spojrzenia ponownie się spotkały i znowu dziewczyna w dziwny sposób poczuła bliskość i ciepło... Ptak

wydał jakiś głos i wzbił się w błękitne niebo. Wznosił się coraz wyżej, stając się coraz mniejszy i mniejszy. Niebawem zamienił się w ledwo rozpoznawalną kropkę. A potem zupełnie zniknął...

Sarze zrobiło się smutno. Nadal wpatrywała się tam, gdzie odleciała sikorka. Wydawało się jej, że sikorka wróci, uspokoi ją. Wciąż słyszała jej pożegnalny głos.

Przecież to prawda, że w oczach ptaka był i znany Sarze smutek, i poczucie bliskości, ciepło, spojrzenie pełne miłości. Tylko gdzie, gdzie widziała to wszystko, w czyich czarnych i smutnych oczach? Tak jej bliskich, tak drogich...

I nagle serce Sary zamarło, w oczach zrobiło się ciemno. Dopiero co było w nich dręczące ją pytanie, a teraz popłynęły łzy. Z głębi duszy wyrwało się: „Ra-a-a-m-i-i-! Miło-ści mo-ja!”. Bolesny, rozdzierający serce krzyk dziewczyny zdawał się potrząsnąć, obudzić miasto pogrążone w wiecznej próżności i banalnych działaniach, przywracając mu na chwilę zmysły.

Ptasie piórko, skądś przyniesione przez wiatr, zakołysało się w powietrzu, poleciało w lewo, potem w prawo i opadło prosto na wilgotne usta Sary.

Tak dziewczyna dostrzegła w sikorce swoją pierwszą i pewnie ostatnią miłość, która w minionym roku zginęła tragicznie w lotniczej katastrofie. Mówi się przecież, że dusze tych, którzy przeszli do innego świata, od czasu do czasu wracają do żywych i drogich im ludzi...

MONOLOG ZWYKŁEGO CZŁOWIEKA

No tak, jestem całkiem zwyczajnym, prostym człowiekiem. Nie wyróżniam się ubraniem: wytarte dzinsy, sweter pod samą brodę, znoszone buty... I nawet twarz mam zwykłą: nos jak nos, brwi jak brwi, oczy jak oczy za szklami okularów. Nie mam drogiego telefonu komórkowego ani żadnego wypasionego sprzętu. To, co mam na sobie, noszę już od ponad roku. Głowa też nie jest ogolona w szachownicę, a włosy nie są zaznajomione z drogimi żelami. Raczej ze srebrnymi nitkami na skroniach.

Jednym słowem jestem zwyczajnym człowiekiem. Nie mam krewnych na wysokich stanowiskach. Nie istnieją w moim leksykonie słowa w rodzaju: „baksy”, „łapówki”, „ćpanie”, „bajerowanie”. I nie „ginę za metal”. Także moje mieszkanie niczym specjalnym się nie wyróżnia. I cóż z tego?

Zwykły ze mnie człowiek. Niech inni mieszkają w rezydencjach oraz wielopokojowych apartamentach, jeżdżą na Hawaje i do Miami, rozbijają się swoimi mercami... Dla mnie to bez znaczenia. Jestem zadowolony, że nie muszę uczestniczyć w ogólnej gonitwie za codziennymi przyjemnościami, przesadnymi dobrami, nie rozpycham się łokciami, nie potrzebne są mi społeczno-polityczne everesty. Do wszystkiego podchodzę spokojnie. Szczerze żałuję wszelkiego rodzaju karierowiczów, nuworyszy, przeżywających burzliwe uniesienia oraz stresy na swojej biznesowej drodze. Za nieprzyjemnych uważam ludzi wulgarnych i krzykliwych, demagogów, biznesmenów i polityków prących do przodu niczym czołgi, bez wstydu

i moralności, z płonącymi oczami oraz brakiem szarej istoty w mózgu.

Bierzecie mnie za dziwaka i bezmózgowca, od którego lepiej trzymać się z daleka. Ja zaś jestem tylko człowiekiem. Są wśród moich znajomych tacy, którzy uwielbiają pouczać, jak żyć, ku czemu zmierzać. Na nich także patrzę ze współczuciem: „Ech, biedacy! Czy zamiast być niewolnikiem konsumpcji i przyziemnych kaprysów, nie lepiej latać niczym wolny ptak?”. Czy można stać się człowiekiem, jeśli nie zna się prawdziwej pracy, ulubionego zajęcia, bez darmochoy, bez krewnych i trwałych więzi? Trzeba rozróżnić zwykły dostatek od nadmiernego bogacenia się. Życie poświęcone złotemu cielcowi nie jest życiem. Odejdziemy, a wszelkie rupiecie i konta bankowe pozostaną. Życie ludzkie jest krótkie i szkoda tracić je na próżno, na puste gromadzenie.

Wygląda na to, że zapominamy o tym, że istnieje na świecie naturalność, umiejętność rozumienia innych, stawiania się na ich miejscu. Człowiek nie zajdzie daleko, jeśli będzie zadzierał nosa i nie zauważał nikogo wokół siebie. Pewnego dnia potknie się i upadnie.

Jestem zwyczajny, podobnie jak moja dusza. Nie ma w niej zawiści, złości ani innych szumowin. Życie jest dla mnie radością. Dlatego, że wiosną uwielbiam przysłuchiwać się powracającym szpakom, a latem czerpię wiele zadowolenia i zdrowia, wędrując po pełnych tajemniczości lasach, chodząc po rozległych łąkach. Uśmiecham się, śmieję. Jesienią smucę się na widok więdnącej przyrody. Zimą cieszę się śniegiem, lubię tarzać się w zaspach. W porządku! Cóż to za uciechy! A jeśli komuś takie przyjemności nie są znane – on, biedak, zapomniał, jak współżyć z naturą. Tymczasem w życiu jest tyle piękna! Trzeba tylko znaleźć je i czuć!

Taki to właśnie ze mnie człowiek. Czasem jestem smutny, zmartwiony, czasem radosny. Dusza moja zawsze otwarta jest na dobro. Na złe czyny miejsca w niej nie ma.

Nie jestem samotny, ponieważ potrafię szczerze kochać. Nie omija mnie wzajemne uczucie. Moje serce to nie kamień czy kawałek lodu – jest żywe, nieraz niespokojne, nieraz zrównoważone, ale zawsze kochające i otwarte na życzliwych ludzi.

DUSZA

Coś dziwnego zaczęło dziać się z moją duszą. Do dzisiaj była dosłownie zakuta w lód. I oto, jak motyl, który niespodziewanie poczuł w środku zimy ciepło słonecznych promieni, nagle się poruszyła. A wkrótce, zrzuciwszy lodową skorupę, zatrzepotała, zamachała skrzydełkami w pobliżu zaśnieżonego okna, przez które do ciemnego pokoju przenikało skąpe, zamglone światło. Zbudził ją ze snu jakiś cudowny oddech i wezbrały w niej ogniste iskry. Dusza, przed nadejściem właściwej pory, pospieszyła się, aby ożywić drzemiące gdzieś tam za chwycające wiosenne dni, przybliżyć je.

Cóż to przydarzyło się duszy? Niecierpliwi się, chce przebić oblodzoną szybę i wyrwać się na wolność... Ale za oknem piekielne zimno, przeszywające do kości. Co jest ze mną? Nie mogę zrozumieć. Wydaje mi się, że odpowiedź na swoje pytanie znajdę tylko za oknem. Tam wszystko będzie jasne...

Znalazłszy malutką szczelinę, dusza wyrwała się i rzuciła w objęcie mroźnej zimy. Leciąca nad ziemią, leciała i przyniosła ze sobą wiosnę, hojnie rozdała ciepło całemu światu, rozsypała je wszędzie, rozsiała. Sama zaś przemieniła się w szelest liści zielonych drzew, pokrytych białymi kwiatami, w niemilknący ptasi trel, i roztopiła w delikatnych promieniach słońca, zamieniając się w wiosenny wiaterek. Stała się pachnącym narcyzem, słodko brzmiącym słowikiem śpiewającym wieczną pieśń miłości. Jakież to szczęście! Ach, cóż za radość! Dusza oddała się tajemniczej sile magicznych uczuć...

No tak, tak, tylko wszechmogąca czysta miłość zdolna jest do takiego cudu. Tylko ona może przynieść ze sobą wieczną wiosnę! Tylko ona...

SEN NA JAWIE

Przechodząc korytarzem, usłyszałem nagle melodię o rzadko spotykanej piękności i delikatności. Cóż to? Skąd dobiega to cudo? Z innego, pozaziemskiego świata? Moja dusza doznała wstrząsu i żądała natychmiast wyjaśnienia skąd.

Drzwi były zamknięte. Wewnątrz ktoś grał na fortepianie. Moja dusza roztapiała się z zachwyty, a znużone obojętnością serce na moment zamarło. Po całym ciele rozlało się poczucie bezmiernego szczęścia. Nie wytrzymałem, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

W rogu pokoju siedziała przy fortepianie nieznajoma dziewczynka. Miała olśniewająco białe ubranie i od patrzenie na nią bolały wręcz oczy. Jej smukłe palce dotykały klawiszy tak delikatnie, że wydawało się, jakby dłonie fruwały nad klawiaturą, a instrument, czując szczere uczucie i ciepło duszy nieznajomej, upajająco, poddawszy się jej urokowi, grał sam z siebie, zanurzony w błogości oraz zadowoleniu.

Dziewczynka mnie nie widziała. Muzyka panowała nad nią niepodzielnie. Można było odnieść wrażenie, że niczego innego nie potrzebuje: ani okrążającego ją świata, ani hucznego życia. Przypominała niewielką ptaszynę, zagubioną pomiędzy marzeniem a rzeczywistością.

Siedziałem i słuchałem... Byłem szczęśliwy. Zdawało się, że magiczna siła napęlnia serce energią, a strumienie krwi płyną w żyłach, słuchając melodii. Z mojej głowy zniknęły wszystkie zmartwienia, było mi lekko i przyjemnie. Wiosenny wiaterek z okna wlewał we mnie jasne uczucie szczęścia, radości, czysto-

ści. To wszystko jest siłą życia. Och, jak dobrze! Wzleciałem prosto ku białym obłokom i cicho się na nich kołysałem. Oto gdzie jest szczęście! A my, wciąż niezadowoleni, spędzamy życie na próżnej bieganinie. Okazuje się, że tak niewiele potrzebne jest człowiekowi do szczęścia. Ech, gdyby tak zniknąć na wieki w falach boskiej muzyki!

Otworzyłem oczy. Za oknem było ciemno, ale w pokoju paliło się światło. Dziewczynki nie było. Fortepian wciąż pozostawał niespokojny, jego struny nadal drżały i dźwięczały. Może wszystko tylko mi się przyśniło? Czy to jedynie szum w uszach, czy brzmia struny mojej własnej duszy? Tak, szczęście uwiło we mnie gniazdo i teraz cała moja istota nieustannie słyszy cudowną melodię...

WYSTARCZY JEDNA PIEŚŃ

Słyszałem wczoraj, jak ktoś śpiewał...

G. Tukaj

Wpół do jedenastej w nocy. Akademik przygotowuje się do spania. Tylko mój przyjaciel i ja nie zamierzamy spać, usiedliśmy, aby zrobić konspekt zadania. Lufcik był uchylony.

Na ulicy ktoś nagle rozciągnął miechy akordeonu. Wzdrygnąłem się zaskoczony. I rozlała się melodia znanej piosenki *Kubaljagem (Mój motyl)*! Akordeonista zaśpiewał:

*Jeśli motyl przysiądzie,
Czy zakolysze się kwiatek?*

Rozbrzmiewała ojczysta tatarska pieśń. Dziwnie było ją usłyszeć: zdążyłem już przywyknąć do tego, że ludzie w mieście obojętnie podchodzą do naszych pieśni. W samej rzeczy, kto by mógł pomyśleć, że tutaj, gdzie znacznie częściej słychać rosyjską mowę, rozlegnie się wśród nocy pod harmonię tatarska pieśń? Teraz coś takiego nie zdarza się nawet w aulach...

*Pod górą, pod górą,
Źródélko okrągłe, zimne...*

Świetnie! Jak dobrze! Znajoma melodia napełnia serce szczęściem. Do oczu napływają mimowolne łzy.

*Wiele na świecie motylków,
Tylko odważnych nie widać...*

Chciałoby się wybiec na ulicę i zobaczyć, kto to śpiewa. Toż to nasza, ojczyzna, tatarska pieśń! Przed oczami pojawił się auł, w którym od dawna już nie słyszano harmonii... Ech, szkoda, że nie potrafię grać na bajanie, dopiero bym im pokazał! Od razu obudziłby się nasz auł, który utracił swoją dawną energię!

Podszedłem do okna. Pieśń ucichła.

I nagle dźwięczny młody dziewczęcy głos wykrzyknął na cały świat:

– Kocham cię!

Cóż to? Czyżby wróciła do mnie przeszłość? Może czas coś poplątał... A może ukryte w głębi duszy wzruszenia i uczucia nagle wyrwały się na zewnątrz?

Tak, zdarza się coś takiego. Czasem uczucia budzą się i dotykają zakurzonych strun duszy, przywracając je do życia. Okazuje się, że wystarczy do tego jedna tatarska pieśń. Ech!

Lenar Szajeh

(Tłumaczenie z jęz. rosyjskiego:
Musa Çaxarxan Czachorowski)



Musa Çaxarxan Czachorowski

MIASTECZKO

Miasteczko liczy sobie lat tysiąc i trochę, zaś czasy jego świetności, jeżeli takie w ogóle były, minęły jakieś pięć wieków temu. Jedynym zabytkiem, jaki tu pamiętam, był cho-dzący po prośbie wujaszek, ubrany w starą mundurową kurtkę, obwiązany świętymi medalikami i sakwami. Pojawiał się nie wiadomo skąd, ładował do swych worów otrzymane od ludzi rzeczy i znikał.

Straszyla mnie nim babka, gdy przekraczałem dopuszczalne normy dziecięcych wybryków. Jednak wiele lat temu wujaszek odszedł na zawsze, tak jak odeszła łagodna, wiecznie zatroskana babka, a przed nią dziadek, niepoprawny kawalarz i fantasta.

Jest jeszcze w miasteczku kościół, kino i mleczarnia, są dwie knajpy, dwie szkoły oraz dwa, może trzy niewielkie zakłady przemysłowe. Kiedyś był także zamek, którego resztki, o ironio, rozebrał pod koniec XIX wieku ktoś z mojej rodziny, aby spłacić – podobno – karciane długi. W ten oto sposób udało się nam wpisać w dziesięciowiekową historię miasteczka.

Po wielu latach nieobecności przywiozłem tam moich synów. Chciałem pokazać im jabłoniowy sad przed domem dziadków, powaloną przez wicher topolę, w której korzeniach miałem kryjówkę, i czyste rozlewisko strugi, przepływającej łąką obok cmentarza.

Myślałem, że w dzień targowy pójde z nimi na rynek, gdzie handluje się wszystkim, poczynając od zieleniny na butach ofi-

cerskich skończywszy, a ciepły, swojski zapach koni kręci w nosie. Lecz żadnej z tych rzeczy już nie było: ani sadu, ani topoli, ani czystej wody. Nie spotkałem również Lenki, dziewczyny z ulicy Ślepej, z którą, trzymając się za ręce, chodziliśmy po mleko z wieczornego udoju. Wszystko to trwało jedynie we mnie.

Nie są, niestety, możliwe powroty do miejsc istniejących wyłącznie w pamięci, ale szliśmy przecież tą samą drogą, którą chodził mój ojciec, jego ojciec i ojciec jego ojca. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy znali mnie od dziecka i których ja znałem. Wchodziliśmy w otwarte drzwi domów, pełnych bliskich, serdecznych osób. Skłoniliśmy głowy przed rodzinnymi grobami.

Ileż razy wspomnienia o miasteczku były dla mnie źródłem siły i balsamem. Stanowiły i nadal stanowią moją wyłączność, będąc jednocześnie dowodem tożsamości, istnienia w ciągłości określonej dawno wyciętym sadem, niegdyś rosnącą topolą, mogiłami. Łączą mnie z pozostałą w miasteczku rodziną, z ziemią wydeptaną przez pokolenia.

Moi synowie urodzili się w dużym mieście. Znają betonowe budynki, asfaltowe drogi oraz smród spalin. Ich ziemia to trawnik i park. Są bezimienni w tłumie. Co będzie kiedyś świadczyć o nich: kwaterunkowe mieszkania czy kwity opłat za gaz? Skąd będą mogli zaczerpnąć siły i co przekażą swym dzieciom? Nie wiem, nie wiem...

Lipiec 1987

WSZYSTKO

Trzeba mi było przyjechać aż tu, do zachodnich Czech, szesnaście czy siedemnaście godzin jazdy autobusem z dymiącymi kołami, aby chodząc po górskiej łące, wśród żołnierzy wracających z czołgowych strzelań, zmęczonych i brudnych, podrywanych nocnym alarmem, poganianych przez dowódcę plutonu, aby właśnie tu, wśród nich, uzmysłowić sobie, że to wszystko: okopywanie się do pozycji stojąc, kromka chleba zjedzona w biegu między taktyką a obieraniem ziemniaków, noszenie z kumplami coraz cięższych skrzynek z amunicją, słowem wszystko, co miało wymierną cenę drżących z wysiłku mięśni, nieprzespanych nocy i skąpej pochwały z ust sierżanta, już się nie powtórzy.

Nie zwiąże się więcej cienka nić, łącząca niegdyś elewów z trzeciej kompanii szkolnej węzłem, zdawało się, nie do rozerwania. To jest nasze życie, myśleliśmy wówczas, niech nikt się nie waży pojąć tej milczącej przyjaźni, wypalonego wspólnie ostatniego papierosa, szorstkiej opowieści o dziewczynie.

Wrócił do mnie nagle tamten czas, kazał chodzić po leśnych ścieżkach, szybko, jeszcze szybciej, jakbym niósł dla chłopaków termos z pierwszym od czterdziestu ośmiu godzin gorącym posiłkiem, łudził nadzieją, że rozgarnę gałęzie, stanę przed namiotem z pałatek i usłyszę: „Dobra, jesteś wreszcie, stary”, ale byłem sam w zachodnioczeskich górach, sam przed czarną, potężniejącą ciągle ścianą lasu i na próżno krzychałem: nie, nie chcę!

Wszystko i tak było już poza mną.

Dobrá Voda, lipiec 1988

PAMIEĆ

Jak to dobrze, że tego wrześnieowego popołudnia zatrzymałeś się na ulicy, którą przemierzam wielokroć każdego dnia, chociaż na jej bruku nie pozostaje nawet najmniejszy ślad mojej obecności. Ulicy jest wszystko jedno, kto po niej chodzi. Ciągle czuję się obcy w tym mieście, wśród tych ludzi.

Czy pamiętasz, jak piętnaście lat temu przekraczaliśmy bramę „czerwonych koszar”? Dziesiątki podobnych do siebie dziewiętnasto- i dwudziestoletnich chłopaków, ubranych po raz pierwszy w wojskowe mundury, ostrzyżonych na zapalkę, włączonych nagle w rytm życia regulowany komendami. Nasza żołnierska izba numer sześć: dziesięć metalowych łóżek, zapach potu i zmęczenia, całonocne rozmowy o wszystkim i o niczym.

Pamiętasz z pewnością starszego kaprala Langa, twardego pierona z Górnego Śląska, który gnał nas w pełnym oporządzeniu pięć kilometrów skrajem oblodzonej drogi, melioracyjnym rowem wypełnionym śniegową breją, rozkazał czołgać się w maskach pegaz przez ogromną przestrzeń autodromu, który wreszcie zwałił się wraz z nami do starego okopu, podobnie jak my, resztką sił, ściągnął z twarzy parującą od potu maskę, wycierał rękawem łzy i ślinę, dysząc przy tym długo, chrapliwie, i jakby nie widząc wściekłych spojrzeń, wstał po chwili, podał komendę i pobiegł na czele plutonu, zarzuciwszy na ramię, obok własnego oporządzenia, jeszcze czyjś plecak.

Pamiętasz może sierżanta Misiurę, jego grzmiący głos zrywający nas rano z łóżek, jego wszystkowiedzące oczy anioła-stróża; Misiurę, którego można było spotkać w koszarach o każdej

nieomal godzinie dnia i nocy, który zawsze miał czas, aby zamęczyć nas w „małpim gaju”, aby wysłuchać najbardziej intymnych zwierzeń, pretensji, nieprawdopodobnych tłumaczeń kolejnego spóźnienia z przepustki. Stary, dobry Misiura, pomijany systematycznie przy awansach, zaniedbujący żonę, wstawiający się za nami u przełożonych, chłop nie do zdarcia, pełen jedyne-go w świecie osobliwego umiłowania wojska.

Ile w nas zostało ze starszego kaprała Langa, z sierżanta Misiury, gdy z kaprałskimi belkami na pagonach stanęliśmy wreszcie przed własnymi drużynami? Patrzyliśmy w twarze tych chłopaków; ich czujne, a zarazem wystraszone spojrzenia napełniały nas dziwnym lękiem, który rozwiązał się jednak szybko, ustępując miejsca poczuciu odpowiedzialności, ale i jedności, więzi, która pozostaje na długie lata. Tak, dalibyśmy się wówczas porąbać za nich na kawałki.

I to na pewno pamiętasz, jak w dniu zwolnienia do cywila spotkaliśmy się niespodziewanie na „ryżowych polach”, jak chodziliśmy w milczeniu wzdłuż koszarowych murów, długo, tak długo, aż siedzący na ławce Misiura podniósł się i wyprostowany, poważny, ruszył bez słowa w stronę bramy. Jeszcze tylko kilku młodych stało nieruchomo przed blokiem. Życie w koszarach potoczyło się znowu swym normalnym torem.

To dobrze, że zatrzymałeś się na ulicy, którą codziennie chodzę. Przywróciłeś mi pamięć, wzrok i słuch. Trzymaj się, stary!

Wrzesień 1988

CISZA

Już z daleka, na długo przed ukazaniem się pierwszych zabudowań miasteczka, widać było ławice gołębi, tnące czysty jedwab powietrza niczym srebrzysta klinga. Unosiły się i spadały, płynęły lekko w jakimś niepojęcie delikatnym, pełnym precyzji locie.

Mężczyźni wychodzili popołudniami na podwórka i cicho pogwizdując, rzucali ptakom ziarna pszenicy. Gołębie siadały na ich ramiona, chwyciły dziobami za włosy, ocierały się o nogi. Przestrzeń wypełniał trzepot skrzydeł i rytmiczne, miękkie gruchanie. Od czasu do czasu stado zrywało się, szybując jak żagiel niewidzialnego statku.

Gołębie... Miłość do nich przyniósł ze sobą mój ojciec do miasta, w którym się urodziłem. W rogu podwórza, przy starej, wielkiej topoli zbudował gołębnik i przesiadywał tam w każdej wolnej chwili. Po kilku latach musiał jednak rozstać się z gołębiami, ponieważ administracja nie przewidywała ich zorganizowanego istnienia.

Nie pytałem nigdy, czy tęskni za swymi pierzastymi przyjaciółmi. Może dlatego, że jeszcze długo przylatywały do mnie we śnie i unosiły w inny, nieznaną świat. Ale któregoś dnia skończyło się i to. Odfrunęły na zawsze.

Dwadzieścia kilka lat później moi mali synowie przynieśli do mieszkania martwego gołębia. Położyli go na biurku i stali w pełnym napięciu milczeniu. „Tato, powiedz mu, żeby wstał” – usłyszałem wreszcie. Nie, chłopcy, tego wasz ojciec nie potrafi...

22.09.1989 r.

ZIEMIA

Szliśmy. Szliśmy przed siebie, nie wiedząc nawet, czy zmierzamy we właściwym kierunku, czy dojdziemy tędy gdziekolwiek. Zaniebany od dawna park za zrujnowanym dworem, którego resztki pokrywała sterta gruzu, zmienił się nagle w gęstwinę drzew i splątanego, bujnie rozrośniętego poszycia. Przed nami wił się, znikał i znowu pojawiał ledwie widoczny ślad ścieżki sprzed kilkudziesięciu lat.

Szliśmy powoli. Długie, ostre trawy, kolczaste pędy roślin, których nazwy już dawno uleciały nam z pamięci, a może nigdy ich nie znaleźliśmy, wczepiały się w ubrania i rozdrapywały bezbronną skórę. Korzenie drzew oplatały stopy. Było cicho, tylko nasze przyspieszone oddechy wirowały w powietrzu, osiadając ciężko na siwozielonych brodach mchów. Tętnienie krwi wprawiało w drgania pękające bezdźwięcznie pajęczyny z wplątanymi w nie liśćmi i zeschniętymi owadami. Las stawał się coraz gęstszy, coraz rzadziej rozświetlały go promienie słońca. Powalone pnie były jak ciała olbrzymów.

Szliśmy tak długo, że czas przestał istnieć. Jediną istotną rzeczą stała się szorstka powierzchnia kory, ogromny głąz wrośnięty od stuleci w ziemię. Nawet my sami, nasza obecność tutaj, nic nie było już w pełni realne. Czas, jego bieg, powolne a nieuchronne upływanie: jakież to dziwne i odległe słowa.

Szliśmy więc dalej, lecz las, który wydawał się nie mieć końca, odsłonił niespodziewanie świeżo zaorane pola i łagodną zielenią łąk. Wokół unosił się jedyny w świecie zapach spulchnionej ziemi, ukrytego w niej życia. Położyliśmy się na niej zmęczeni,

ziemia zaś ogarniała nas powoli. Wreszcie czuliśmy ją w ustach,
na rękach, we włosach – jakby już przez całą wieczność miała
być wyłącznie nasza.

Okulice–Kamionna, maj 1990

W CZASIE. W PRZESTRZENI

Gdzież jest moja pamięć, w której się przeglądam... Gdzież jest pamięć, która mnie określa, dopowiada dzieje, miejsca i ludzi; wszystko, co stworzyło tę historię, ciąg zdarzeń, dawnych i bliższych, bezustannie się splatających, przenikających, uzupełniających. Gdzie w tym wszystkim mogę odnaleźć siebie samego, wrośniętego przecież w to drzewo sięgające korzeniami pramroków, koroną zmierzające w nadchodzące światy.

Otom ja, krew z krwi dawnej, kość z kości przodków, a jednak inny, choć jednaki i niezmienny, opisany dawno wygasłymi ogniskami, tętentem końskich kopyt, zapomnianymi mogiłami z nierozpoznawalnymi już nagrobkami.

Otom ja – i krew z mojej krwi, kość z moich kości, moi synowie, ich synowie oraz synowie ich synów. Oto pamięć rzeczy, która niechaj trwa.

Jestem... Często nocami powracam w dawne czasy i dawne miejsca. Idę, biegnę przez lata minione, tysiąclecia, eony – jakbym żył wciąż i wciąż, jakbym doświadczał tego wszystkiego, co niegdyś się przydarzyło, jakbym sam uczestniczył w tych wydarzeniach, a przynajmniej je obserwował. Najczęściej jednak czuję ból; ból ludzi, zwierząt i roślin; ból, który dopada mnie później w najbardziej nieoczekiwanych momentach i odbiera resztki świadomości. Wtedy znowu wyruszam w tę przestrzeń bezdenną, rozciągającą się od wiekuistości po wieczność. Zanurzam się w rzekę czasu, płynę razem z nią.

Na początku było nie słowo, ale deszcz. Strugi wody spływające z niebios, zalewające usta i oczy. Oczyszczające. Jednoczą-

ce z ziemią i powietrzem, z drzewami i kamieniami. Wypełniająca przestrzeń obrazami ze snów. To był zawsze mój czas: czas samotnej wyobraźni, która przenosiła mnie w dowolne miejsca poza jakąkolwiek dotykalność rzeczy. Szedłem przez rozległe równiny, puste, zawsze puste, w bezustannym zimnym deszczu. Czegoś szukałem, coś – cokolwiek – pragnąłem napotkać, może kogoś zobaczyć – choćby z daleka – ale widnokres niezmiennie pozostawał obojętny na moje wołanie. Tak było... Wciąż widzę tego chłopca, dziecko jeszcze, wychodzącego na deszcz, zmokniętego i zmarzniętego, idącego polem, łąką, stepem – w dal. Do nikąd... Może wciąż tam idzie...

Dokąd doszedłem? Nie wiem, nie chcę wiedzieć... Chyba że dotarłem do sadu przed dziadkowym domem, do ścieżki wiodącej prosto w otwarte drzwi sionki. Biegnę... Za mną ulica wybrukowana kocimi łbami, po prawej stronie jabłonki, między nimi krzaki porzeczek, po lewej zagony ziemniaków. Wchodzę między drzewa, dotykam ich szorstkiej kory, gładzę liście... Zapach... Zapach jabłek i zapach lata, smak tych jabłek, sok spływający po brodzie, monotonne brzęczenie owadów. Kładłem się wtedy na rozgrzanym palącym słońcem spłachetku trawy pomiędzy drzewami, zamykałem oczy i czułem się jak w raj. Senny, coraz bardziej senny, bezcielesny, wrastałem w ziemię najpierw włosami, potem dłońmi, ramionami, wreszcie stawaliśmy się jednością.

Oto jestem już w domu! Pokój pachnie... Czym właściwie pachnie? Pastą do podłogi, wiklinowymi fotelami, lawendą? Maciejką rosnącą pod niskimi oknami? Pewnie wszystkim po trochu. Najpiękniejszy jest jednak zapach drożdżowych bułek z serem, robionych wieczorem, wypiekanych nocą w chlebowym piecu pobliskiej piekarni. I jeszcze ten chleb, wielki okrągły bochen o ciemnozłocistej chrupiącej skórce. Pajda z masłem w jednej dłoni, w drugiej świeżo zerwany ogórek. Kromka posmarowana gęstą świeżą śmietaną i posypana cukrem... Chleb, po prostu chleb... *Chleb czarny, chleb biały – jedyna świę-*

tość, w jaką wierzę: słowa zapomnianego już dawno poety, tkwiące – po co, na co – wciąż w pamięci. I słowa dziadka, gdy niefrasobliwie wyrzuciłem kawałek niedojedzonej kromki chleba: „To grzech, wnusiu, chleba nie wolno wyrzucać. Podnieś, podmuchaj i przepros Pana Boga”. Prosta prawda, prosta nauka, jaka pozostała we mnie na zawsze.

Za domem dziadków, za czymś polem, niedaleko, rozciągała się łąka z przepływającą przezeń strugą. Bezkres zieleni, a nad nim błękit; gdy wpatrywałem się w niego dostatecznie długo, wtedy odlatywałem na mym skrzydlatym koniu, który pasł się pomiędzy pierzastymi obłokami. Pędziliśmy przez niebiański step, daleko, coraz dalej, poza czas, poza świat. Widzieliśmy Ziemię w pierwszych sekundach jej istnienia, wynurzającą się z odmętów niebytu, parującą, pulsującą, z żarzącymi się językami magmy. Przedzieraliśmy się przez gęstwinę żywych drzew, krzewów, owijających się wokół nóg, chwytających gałęziami za ręce, wołających „zostańcie tu, zostańcie...”; umieraliśmy z pragnienia usypiani przez śpiewające piaski; galopowaliśmy w trzepocie rajskich ptaków, wśród rozbłysków strzał. I tak ciężko było wracać...

Zasypiałem zmęczony na tej łące, a sen mnie kołysał, unosił. I szedłem w nim, cichy i bosostopy, polnymi drogami, miedzami, bezdrożami. Ja – i przede mną cały świat, otwarty na przestrzał, na oścież, z zielenią topól splatającą się z błękitem, a może z błękitem zrastającym się z zielonością, z dmuchawcami i kaczeńcami, z zimną wodą strugi, w którą zanurzałem rozgorączkowaną twarz. Potem owiewał mnie wiatr i czułem w nim oddech stepu, zapach koni, może czyjś śpiew, może płacz... Wciągałem wtedy powietrze głęboko do płuc, smakowałem je, czułem każdym nerwem mego ciała, gdy rozlewało się wszystkimi żyłami i tętnicami, budząc w moim wnętrzu pradawny zew krwi.

Jaki więc byłem i jaki jeszcze będę, i skąd we mnie pamięć tyłu najprzeróżniejszych rzeczy, powrastana w tkanki, zaszcze-

piona w mięśnie. Trwam w nieprzerwanym łańcuchu istnienia, opisanym pulsowaniem stepu, dawno nieistniejącym sadem i wodą, czystą wodą z wyschniętego źródła. Poskładałem siebie ze strzępów światła, z echa słów rozbrzmiewających w bezsenne noce, z bezdźwięcznych modlitw przodków, z łaski Bożej, która od zarania rozpromienia świty. Jaki zatem jestem: ile we mnie tego, co z moich dziadów, ojców? Możem nie wszystko ustrzegł, ale wciąż pozostaję wierny tej przestrzeni, topolom i ciszy. Idę wytrwale swoją ścieżką przez łąkę, nieopodal cmentarza i strugi.

Urodziłem się w mieście pełnym ludzi różnego pochodzenia i rozmaitej wiary. Przetrwały we mnie okruchy pamięci, niejasne opowieści, cechy fizyczne, a nade wszystko głęboka atawistyczna świadomość, poczucie odmienności. Wszystko to i skąpe słowa dziadków, i obserwacje niezorientowanego jeszcze dziecka, i późniejsze dociekania, poszukiwanie śladów, podążanie po tropach przeszłości i własnej terażniejszości – wzmacniało się i zrastało ze sobą. Wreszcie wszystko trafiło na swoje miejsce. Odnalazłem się w czasie i przestrzeni, wśród cieni przodków i wśród ludzi tu i teraz. Jestem jak oni: w pełni stamtąd i stąd. Jestem nimi, oni są mną. Krew z krwi.

Zrobiłem jeden krok w stronę mego dziedzictwa, a ono zbliżyło się do mnie o tysiącokroć więcej. Czuję obecność Najwyższego, która sama z siebie, we właściwym momencie, ogarnęła moje serce i duszę, stając się tak naturalną i niezbędną do życia jak powietrze. Biegłem, często donikąd, ale droga sama mnie odnalazła, poprowadziła tam, gdzie zawsze było moje miejsce. Czeakało, jeszcze zanim się urodziłem. I wreszcie znalazłem się wśród ludzi, takich jak ja. Mówimy jednym głosem, czujemy tę samą radość i ten sam ból. Jednakową modlitwą zwracamy się do Boga, jednakowymi słowami odprowadzamy się w ostateczną podróż.

Jestem... Jestem.

29.09.2014 r.

SZARY WILK

Chłopiec otworzył oczy. W pokoju panował gęsty półmrok, rozjaśniany nieco światłem gazowej latarni, która stała wprost przed oknem. Wysunął się spod puchowej pierzyny i postawił stopy na chłodnej podłodze. Sięgnął rękę po ubranie leżące nieopodal na taborecie. Niewiele widział, ale nie chciał zapalać lampki. Nie mógł znaleźć majtek, nie zawracał więc sobie nimi głowy. Wsunął nogi w barchanowe kalessony, potem naciągnął podobną podkoszulkę z długimi rękawami. Po niej przyszła kolej na sukienne spodnie. Miały tylko jedną ukośną szelkę i zwężające się na dole nogawki, wygodne do wkładania w buty. Nie było skarpet, musiały widocznie spaść ze stołka. Osunął się na kolana i macał dłonią po podłodze. Znalazł je wreszcie, założył na stopy, upychając w nie również spodnie. Lubił te skarpety, zrobione przez matkę z czerwono-czarno-brązowej włóczki. Jedna ozdobiona była na pięcie dużą rdzawą cerę. Nigdy nie pamiętał, na której. Dlatego była czasem na prawej, a czasem na lewej stopie. Założył jeszcze sweter z równie grubej włóczki, także wykonany matczynymi rękoma.

Nie wiedział, która jest godzina. Za oknem było ciemno i pusto, wszystko pokrywała gruba warstwa śniegu. Z pokoju, gdzie spały matka i siostra, nie dolatywał do niego żaden dźwięk. Ojciec, wojskowy, pełnił służbę w jednostce. Chłopiec nie myślał jednak o tym wszystkim. Nie planował tego wcześniej. Nawet o tym nie śnił. Po prostu obudził się i czuł, że musi wyjść z domu. Powoli otworzył drzwi do przedpokoju, który był wspólny dla dwóch rodzin: ich oraz sąsiadów. Tam włączył światło. Słaba

żarówka nie zdołała oświetlić w całości dużego pomieszczenia. Usiadł na podłodze, aby włożyć buty. Miały skórzane trzewiki i obszyte skórą szare filcowe cholewki, sięgające do pół łydki. Były rozcięte z tyłu i zapinane na dwa paski ze sprzączkami. U nikogo nie widział podobnych. Sięgnął jeszcze po ciepłą kurtkę, z której rękawów wystawały jednopalcowe rękawiczki, szalik oraz czapkę. Był już gotowy.

Zgasił światło i delikatnie odsunął zasuwkę na drzwiach do klatki schodowej. Pchnął je dłonią, uchyliły się odrobinę, z lekkim, jak mu się wydawało, westchnieniem. Pchnął ponownie, szpara rozszerzyła się na tyle, że przez nią wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim i znowu odniósł wrażenie, że rozległo się ciche westchnienie. Stał teraz w ciemności, wsłuchując się przez moment w swój oddech. Pokiwał głową, jakby utwierdzając się w powziętej decyzji, i zszedł ostrożnie po nieoświetlonych schodach. Jeden, dwa, trzy... Zawsze, wchodząc lub schodząc, liczył stopnie i to przyzwyczajenie zostało mu na całe życie. Drzwi wyjściowe, dwuskrzydłowe, drewniane i ciężkie, otworzyły się z trudem. Blokował je śnieg, którego nikt jeszcze nie odgarniał. Był na dworze. Rozejrzał się wokół, wszędzie panowała ciemność, jedynie stare latarnie zaznaczały wokół siebie kręgi żółtawego światła. Kamienica stała za jego plecami, cicha, przyczajona, jakby nie mogła się zdecydować, czy chce pójść z nim, czy woli zostać. Po prawej stronie, gdzie nie było ani latarni, ani domów, przemknął jakiś szarobiały cień. Chłopiec bardziej go wyczuł, niż zobaczył. Pewnie wilk, pomyślał. Nie wydało mu się to ani trochę dziwne. Przecież jedynie wilk mógłby wędrować samotnie pośród nocy. Całkiem jak ja, uśmiechnął się. Jestem wilkiem.

Było cicho, słyszał jedynie lekkie skrzypienie śniegu pod stopami i bicie swojego serca. Puk-puk, puk-puk, puk-puk... Zachęcające, aby bez obawy wejść w tę rozbieloną śniegiem kraninę. Prawdziwą, chociaż wyglądającą jak przeniesiona z innego

świata. Obiecującą, że znajdzie tam coś wyjątkowego. Coś, co żyło w niej od zarania dziejów, a od dzisiaj będzie częścią niego, podobnie jak on będzie częścią tego czegoś – już na zawsze nie do rozdzielenia. Czymś jednym. Jedynym w swoim rodzaju. Poszedł więc, zapadając się po kolana w śnieżną pokrywą. Rozciągała się przed nim równa przestrzeń, niedotknięta jeszcze czymkolwiek śladem. Od tysięcy, może i milionów lat oczekiwała na odkrycie, na zdomowienie się w niej, uznanie za własną. Odkrywał ją, ona zaś zagarniała go krok po kroku, oddech po oddechu, czyniła kimś innym, niż dotąd był. Z każdym uderzeniem pulsu stawał się coraz bardziej przynależny do niej. Jeszcze o tym nie wiedział, nie czuł, ale od tego momentu jej tchnienie krążyło w jego żyłach i pozostać w nich miało na całą wieczność.

Po pewnym czasie zaczął iść pod górkę. Z coraz większym wysiłkiem wyciągał nogi ze śniegu, potknął się kilkakrotnie, prawie przewrócił. Zrobiło mu się gorąco, wysunął dłonie z mokrych rękawiczek, zsunął czapkę na tył głowy. Zatrzymał się przy kępie niewysokich drzew, oddychając głęboko, zmęczony, ale zadowolony. Nie orientował się, gdzie jest, lecz niewiele się tym przejmował. Zachciało mu się siku i to zaprzętało całą jego uwagę. Rozpiął kurtkę i spodnie, po czym wsunął w nie rękę, aby wyciągnąć siusiaka. Znalazł go, ale był tak malutki, że chcąc się wysikać, musiał podciągnąć sweter i podkoszulkę, a spodnie opuścić do kolan. Chłopiec westchnął, niemile zaskoczony. Odpiął szybko szelkę, ale spodnie i grube kalesony stawiały opór. W końcu ściągnął je do połowy ud i wypinając brzuch, najdalej jak tylko mógł, wysikał się z wielką ulgą. Znowu westchnął, bo chyba połowa poleciała mu na spodnie oraz buty. Wstrząsnął się z nagłego chłodu. Podciągnął kalesony i spodnie, wepchnął w nie podkoszulkę. Nie zdołał przełożyć szelki przez ramię, obwiązał się więc nią w pasie, poprawił sweter i zapiął kurtkę. Ciekawe, jak sikają wilki, zastanowił się naraz. Czyżby jak psy... Nie,

niemożliwe, z niechęcią potrząsnął głową. Gdyby wilki sikały jak psy, wtedy byłyby psami, a nie są. Kolejny raz potrząsnął głową, zgadzając się z własnym wyjaśnieniem. Wilk to wilk, zatem sika jak wilk. Albo w ogóle nie sika... Pewnie wilk nie musi...

Rozglądał się, w którym kierunku ruszyć. Wszędzie było jednakowo pusto i mroczno. Tylko śnieżna płaszczyzna pulsowała przyćmionym blaskiem, tworząc zaskakujące, przecinające się i pochłaniające wzajemnie obszary czerni i bieli. Chłopiec miał wrażenie, że spogląda na niego wielkie pokręcone oko z drgającą powieką, która na przemian otwiera się i zamyka. Jakby zapraszające, aby wejść w nie, i jednocześnie ostrzegające przed czymś, co jest poza nim, po drugiej stronie. Wewnątrz oka, które w ogóle okiem nie było. Wtem, właśnie tam, blisko ciemnej niby-żrenicy, mignął jakiś szarobiały kształt. Poszedł ku niemu. Po kilkuset krokach, może kilku tysiącach – nie liczył ich przecież – ponownie zrobiło mu się gorąco. Śnieg stał się nieco płytszy, szło się łatwiej i szybciej. Był niczym jedyny człowiek – zapewne nie na całej planecie, ale tu – w tej części miasta, które znajdowało się gdzieś za nim. Czyżbym zaszedł tak daleko, przyszło mu do głowy, tak bardzo daleko, że niczego innego tutaj nie ma, tylko śnieg i śnieg... Mało tego, może gdziekolwiek indziej niczego już nie ma: ani miasta, ani domu, ani rodziców...

Przecisnął się między niewielkimi kopczykami, które okazały się ośnieżonymi krzakami z kolczastymi gałęziami. Nagle zaboląła go prawa dłoń. Staął, przypatrzył się jej i zauważył długie zadrapanie z kilkoma kropelkami krwi. Zastygły na zimnie i na moment rozbłysły ciemną czerwienią, aby nieomal natychmiast szernieć i zgasnąć. Piękne, drobniutkie kryształki przyklepione do skóry. Spojrzał uważnie na rękę, kilkakrotnie zacisnął piąstkę, po czym rozprostowywał palce. Podniósł dłoń do ust, wyciągnął język i lekko dotknął nim zranienia. Delikatnie polizał. Zamarznięte krople krwi rozpuściły się i wydawało mu się, że poczuł ich smak. Smak własnej krwi. Sądził, że coś

powinno się zaraz stać. Co, nie wiedział. Coś. Czekał jeszcze trochę, ale ranka była zbyt drobna, aby nadal krwawić. Pewnie wilk wyczułby krew z daleka i nie zostawił go wówczas w spokoju, ale o tym chłopiec jeszcze nie wiedział. Zresztą jego wilk był inny. Był cieniem, błyskiem, zapachem unoszącym się ponad nocnym pustkowiem. No i byli jednej krwi.

Postanowił chwilę odpocząć. Udeptał śnieg wokół siebie i przykucnął. Stał się częścią tego, co go otaczało, jak obsypany śniegiem kamień lub krzak albo jakieś zwierzątko, siedzące w swej kryjówce. Mógłby spędzić tak całą zimę, oddychając razem z wszelkimi tutejszymi istotami, wspólnie z nimi czując każde drgnienie powietrza. Wiosną pokryłby się zielonymi listkami. Na tę myśl chłopiec parsknął śmiechem, ale na wszelki wypadek poruszył nogami, aby upewnić się, że nie wrosły mu w ziemię. Podniósł się i zamierzał pójść dalej, gdy w pobliżu zauważył jakiś ślad. Dziwny, pojawiający się znikąd, krótki, urwany. Przysunął się do niego, nachylił, wpatrując się w głęboko odciśnięty, wyraźny trop. Ściągnął rękawiczki i przyłożył dłoń do wgłębienia w śniegu. Ooo, zdziwił się, jakie wielkie, większe od mojej ręki... Raz, dwa, trzy, cztery... Zawahał się, bo nie wiedział, jak to nazwać: palce z pazurami i pięta? Pochylił twarz nad śladem, powąchał. Zgarnął odrobinę śniegu i posmakował. Raz, następnie jeszcze raz. Czuć wilkiem, doszedł do wniosku. Wcale się nie przestraszył. Obecność wilka w tak odludnym miejscu była dla niego najzupełniej naturalna, podobnie zresztą jak jego własna, chociaż o tej porze powinien spać spokojnie w ciepłym łóżku.

Chłopiec rozejrzał się na boki, obrócił w kółko. Wtem z czerniejącej nieopodal kępy drzew rozległ się cichy dźwięk. Niski i wibrujący, wznoszący się i opadający. I jeszcze raz, od nowa. Niczym odwieczna pieśń bez słów wydobywająca się z wnętrza podświadomości, z samych głębin istnienia. Z prapoczątku. Wiadoma dla wiadomych, istot jednej krwi – może ludzi, a może

wilków – poświadczająca obecność, jednocząca w kręgu tego, co było i co dopiero będzie. Wzywała do przyłączenia się i chłopiec odebrał wezwanie. Zrozumiał je, chociaż tak wyraźnie usłyszał po raz pierwszy w życiu. Wiedział, że bez wątpienia skierowane zostało do niego. Przełknął ślinę, odetchnął kilkakrotnie gętko i rozchylił nieco usta. Skoro było to wezwanie, musiał na nie odpowiedzieć. Zaczął nieśmiało – uuuuu... uuuuu... uuuuu... – potem przerwał, powtórnie odetchnął i powtórzył swój zew. Teraz było w nim zdecydowanie. Moc. Zdjął czapkę, szalik i kurtkę, zwinął w kłębek, położył przy krzaku. Nie czuł zimnych stóp w przemoczonych butach, nie marży mu ręce. Uniósł głowę i wydał z siebie ni to zaśpiew, ni to wycie. Głos zajaśniał w mroku i osiadł gdzieś między drzewami. Ruszył wtedy za nim, początkowo powoli, następnie szybciej i szybciej.

3 czerwca 2020 r.

IDĄCY

Pamięci cioci Luli

Powoli otworzył oczy. Rozejrzał się na boki, potrząsając przy tym lekko głową, zdziwiony, że znalazł się w miejscu, o którym wielokrotnie rozmyślał, ale którego wcale się nie spodziewał. Jestem w raju, szepnął. W raju...

Siedział, wsparty plecami o szorstki pień topoli. Jej liście szeleściły w sobie tylko właściwy sposób. Będąc dzieckiem, wsłuchiwał się w nie przeświadczony, że przekazują wiadomości z dalekiego świata. Topola topoli, ta zaś następnej i następnej. Miał nadzieję, że kiedyś pojmie cokolwiek z ich sekretnego języka. Uśmiechnął się na wspomnienie długich godzin, które spędzał przytulony do pnia to uchem, to ustami, szepcząc w korę swoje własne komunikaty. Rozumieli się dobrze, chociaż topole mówiły po swojemu i on po swojemu. Były dla niego łącznikiem między niebem a ziemią, pozostałością z czasów, gdy możliwe było przemieszczenie się ze sfery do sfery, z wymiaru do wymiaru.

Nieopodal rozpościerała się łąka, duża, jak mu się wydawało aż po horyzont. Z jednej strony przecinał ją długi pas zarośli. Tak właśnie było na łące z jego dzieciństwa: na skraju rosła topola, gdzieniegdzie kępy niewielkich drzew, dalej zaś płynęła struga z brzegami porośniętymi krzakami. Widział ją teraz przed sobą, czuł zapach trawy, zapach wody i zapach koni, bo przecież musiały być gdzieś blisko. Słyszał te wszystkie niezwykle dźwięki: cykanie, kumkanie, dzwonienie, buczenie, popiskiwanie, świergotanie. I jednocześnie słyszał spokojny oddech ci-

szy. Swojskiej, życzliwej, przyzwalającej, aby zanurzył się w nią, wciągnął głęboko do swego wnętrza jej czyste tchnienie. Owiewał go lekki wiatr, ogrzewało słońce.

Miał odczucie, że zaraz usłyszy odległy głos cioci, jak zwykle wołającej go na obiad. Idź, rozejrzyj się za nim, bo znowu gdzieś przepadł, mówiła do kogoś. Jeszcze się nam chłopaczy-sko zgubi... Widział ją, szczupłą, ciągle w ciemnym ubraniu, z białymi, lekko falującymi włosami. Odkąd pamiętał, zawsze była taka sama, zatroskana, dobra... Gdzieżeś to się wałęsał, pytała, gdy przychodził wreszcie bosy, często z siniakami i podrapanymi nogami oraz rękoma. Nigdzie, ciociu, odpowiadał i odwracał głowę. Źrenice jego zmrużonych oczu ciemniały wtedy i na mgnienie zapadały się w głąb, odlatywały. Może jeszcze raz chciały napatrzeć się na polne drogi, łąki, drzewa. Nigdzie, potwarzał bezgłośnie. Nigdzie...

Chłopiec wychodzi z domu i zamyka za sobą drzwi sionki. Idzie ścieżką między sporym zagonem ziemniaków a sadem, dochodzi do ulicy wykładanej kocimi łbami. Turkoczą na nich metalowe obręcze na kołach furmanek i dźwięczą końskie podkowy. Skręca w prawo, w stronę cmentarza. Mija go, przechodzi dalej, dalej, jest już za ostatnimi zabudowaniami miasteczka. Zatrzymuje się i rozgląda wokół, zdawałoby się wypatrując za kims, za czymś, nie wiadomo. Wszędzie jednak pusto, rusza więc przed siebie. Nie rozważa, gdzie dojdzie ani co każe mu tak iść. Nie obawia się samotnej wędrówki. Idzie, po prostu idzie.

Ma wrażenie, że polna droga prowadzi donikąd. Zarośnięte pobocza, czasem zapuszczony melioracyjny rów, wierzby – podobno rosochate, chociaż według niego tylko koślawe. Zdejmuje sandały, spina paski i zawiesza sobie na szyi. Ziemia przyjemnie chłodzi stopy, piasek jest mięciutki jak... Zastanawia się, do czego przyrównać tę niezwykłą miał-

kość, lecz nic nie przychodzi mu do głowy. Dociera do rozstaju, wkłada sandały i za przydrożną kapliczką skręca na miedzę. Przechodzi z jednej na drugą, z węższej na nieco szerszą, z szerszej na całkiem wąską, obrobioną z obu stron tak bardzo, że ledwo da się przejść. Idzie.

Przypomniawszy sobie szlaki, leśne przesieki i bezdroża, ulice w rozmaitych, większych i mniejszych miejscowościach, które przez lata przechodził. Szedł, ponieważ musiał, posłuszny zapisanemu w swoim wnętrzu nakazowi. Szedł powoli, często zatrzymywał się, dotykał drzew, jednych krócej, innych dłużej, można nawet powiedzieć, że z pewną czułością. Gładził ich korę, wąchał, zdarzało się, że odrywał kawałek lepkiej żywicy i wsadzał do ust. Podnosił kamienie, oczyszczał dłoń, oglądał na wszystkie strony i pieczołowicie odkładał na to samo miejsce. Czasem w skupieniu wpatrywał się w niebo, jak gdyby oczekiwał, że zaraz coś się na nim pojawi, on zaś musi to koniecznie zobaczyć. Co, trudno powiedzieć. Nie wiedział.

Tak było tamtego ranka. Poszedł wzdłuż pola kapusty, minął wykrot wielkiej topoli, powalonej kilka lat temu przez burzę, i ruszył obok bocznego płotu cmentarza. Ścieżka była prawie niewidoczna, bo mało kto tędy chodził. Nie zdarzyło się jeszcze, aby kogokolwiek na niej spotkał. Stanowiła jego, tylko jego, wilczy przesmyk. Po jednej stronie świat martwych, po drugiej żywych, nad głową niebo, pod stopami ziemia, na której zostawiał swój ślad. Wtenczas nie myślał o tym, a co więcej nie czuł wcale takiej potrzeby. Nie musiał przecież w żaden sposób uzasadniać swojej tutaj obecności, stanowił bowiem naturalny element otoczenia, jak kamień, trawa, krzak. I doszedł do miejsca, którego nie znał.

Wygląda trochę jak uroczysko, ukryte za gęstymi krzewami i zagajnikiem, do którego wiedzie nieomal całkowicie zarośnięta dróżka. Po bokach polany tkwią wryte w zie-

mię dwa głązy. Sięgają mu prawie do kolan, są rozłożyste, zimne, porośnięte mchem. Pomiędzy nimi znajduje się trawiasty pagórek ze szczytem z ubitej ziemi. Chłopiec obchodzi go wokół, najpierw w prawą stronę, następnie w lewą. Potem kładzie się na zboczu, rozpościera szeroko ramiona i wstrzymuje oddech. Wsłuchuje się w jego wnętrze, jakby liczył, że dobiegną stamtąd jakieś słowa: objawienie, rada, obietnica albo przestroga.

Leży tak i leży, aż można by przypuszczać, że jego ciało wrosło w zmierzwioną ruń lub coś od spodu je przytrzymuje, nie pozwala się podnieść. Wreszcie wstaje powoli, z pewnym trudem. Zbliża się do kamienia, siada przy nim, przyciąga kolana do piersi i opiera na nich głowę. Milczący i nieruchomy wygląda w ciemniejącym powietrzu na zwykły pień. Na grzyba jest za duży. Trudno powiedzieć, ile minęło czasu: może tylko chwila, a może cała wieczność. Naraz z jego ust rozlega się przenikliwy dźwięk. Skowyt, nawoływanie, ostrzeżenie. Jego tonacja zmienia się, obniża, podnosi, przeciąga, wzmacnia. I niknie między drzewami.

Nie sposób stwierdzić, czy akurat wówczas dowiedział się czegoś istotnego. Wiele razy wydawało się, że to, co ma wiedzieć, już wie. Że jego postępowanie wynika z odkrywanych stopniowo źródeł pradawnej świadomości, przesączającej się kropla po kropli do serca, duszy i mięśni. Czego więc jeszcze nie poznał, cóż takiego pragnął się dowiedzieć? Jeden Bóg wie. Wracił do domu, pierwotnym zmysłem wyczuwając właściwą trasę. Tylko raz skręcił w inną stronę, aby wejść do dawno opuszczonego sadu. Minał obwieszoną owocami ulęgałkę i zatrzymał się przy jabłoniach. Zawsze smucił go widok jabłek, których nikt nie zbierał. Często, gdy miał w czym, przynosił je do domu albo rozdawał napotkanym osobom.

Najpierw podniósł kilka owoców leżących w trawie. Obtarł rękawem i jak zwykle zjadł w całości. Z przyzwyczajenia wziął parę ze sobą. Dobrze, jednak żadne jabłka nie mogły dorównać tym, które rosły w dziadkowym sadzie. Zbierał je spod drzew, wkładał do kieszeni lub za pazuchę. Na później. Kiedyś zapytał, jak się nazywają. Jabłka, usłyszał w odpowiedzi, jabłka. I tak mu zostało: jabłka były jabłkami, niczym więcej i niczym mniej. Uważał, że nie ma od nich nic lepszego, żadne tam pomarańcze, gruszki, śliwki, banany. Kiedyś chciał się odżywiać jedynie jabłkami i herbatą. Życ w zapachu jabłek... Umrzeć w zapachu jabłek... Wytrwał miesiąc czy półtora, ale wciąż mu smakowały.

Ma pewnie ze trzy lata, dopiero co wstał z łóżka. Widzi jakąś obcą panią, która uśmiecha się i wyciąga do niego ręce. Nie wie, kim ona jest, inaczej pachnie, inaczej się odżywa. Wyrzywa się z jej objęć, odpycha i wybiega na dwór. Ucieka do sadu, przedziera się przez krzaki porzeczek i agrestu. Jest już wśród jabłoni. Podciąga spodnie od piżamy i kładzie się między drzewami. Rozkłada ręce i nogi, przymyka oczy. Uspokaja się, otula w znajomą woń dojrzewających jabłek. Prawie zasypia, gdy dobiegają go ciotczyne słowa: No i dlaczego uciekleś, przecież to twoja mama. Mamy się wystraszyłeś? Mama... Moja mama?

Podnosi z wahaniem powieki, patrzy uważnie na tę obcą panią, która wcale nie jest obcą, tylko jego mamą. Potem bierze spod drzewa duże czerwone jabłko i podaje bez słowa mamie. Pani, już mama, pochyla się i odbiera je w milczeniu. Jednocześnie wyciąga ku niemu swoją dłoń, w której także ma dorodne jabłko. Spoglądają teraz to na siebie, to na owoce wymienione na znak porozumienia, przymierzają. Jest dobrze, wszystko znalazło się na swoim miejscu. Wracają do domu, trzymając się za ręce. Niosą swoje jabł-

*ka niby cenne znaleziska z dziadkowego sadu. Ich zapach
i smak pozostanie z nim przez całe życie.*

Zamknął na moment oczy i ponownie otworzył. Nie, to z pewnością nie jest raj. Nie ma już żadnej łąki ani strugi. Nie ma sadu ani polnych dróg, nie szumią topole. Nikt nikogo nie nawołuje z oddali. Ten świat trwa wyłącznie w nim. Będąc dzieckiem, odebrał wezwanie i odpowiedział na nie. Podąża za nim bezustannie.

29.11.2021 r.

DOROŻKA

Jedną z atrakcji miasteczka stanowiły niewątpliwie dorożki, zwane powszechnie dryndami. Wprawdzie wszędzie było tu blisko, ale nieraz zdarzała się dłuższa jazda, chociażby na stację kolejową.

Na chętnych czekały zazwyczaj trzy, najwyżej cztery dryndy. Dorożkarze, przygarbieni od długiego czekania na klientów, siedzieli na wysokich kozłach, prawie zawsze z batem w rękę i papierosem w ustach. Bywało, że zbierali się na chodniku i półgłosem o czymś rozmawiali. Konie również były jakby przygarbione, znużone tym stanem, tylko od czasu do czasu unosiły nieco którąś nogę i grzechotały podkową o kocie łby. W chłodne dni zarzucano im na grzbiety stare derki dla osłony przed zimą. Nieraz pod końskim pyskiem zwieszał się treptuch, płócienna torba na obrok. Chłopcu wydawało się to całkiem zwyczajne, właściwie bez większego znaczenia. Podobnie jak rozróżnienie koni: kary, kasztan, bułanek, skarogniady, jabłkowity. Najbardziej podobały się mu skarogniade, czyli ciemnobrązowe z czarnymi nogami, częściowo czarną szyją i grzbietem oraz czarnymi grzywami i ogonami. Kiedyś wszakże ze zdziwieniem zauważył, że jego szkolni koledzy z miasta nie wiedzą wcale, co to jest treptuch, kłonica ani kielzno, a końskie umaszczenie w ogóle ich nie interesuje.

Same pojazdy pochodziły bez wątplenia jeszcze sprzed wojny. Miały koła z żelaznymi obręczami, które głośno turkotały w trakcie jazdy. Opony, podobne do samochodowych, dopiero wchodziły tu w modę, były drogie i mało kto mógł sobie na nie

pozwolić. W tylnej części dorożki znajdowała się składana buda, którą podnoszono podczas deszczu. Chłopiec żałował, że nie jechał nigdy z rozłożoną budą, zalewaną strugami ulewy. Byłoby to naprawdę fascynujące przeżycie. Lubił zwłaszcza ten pierwszy moment postawienia nogi na stopniu, gdy drynda lekko się ugiwała, jakby falowała, otwierała swoje wnętrze. Wchodził i siadał na okrytym kocem siedzisku. Wdychał wtedy zapach kilkudziesięciu lat przewożenia – tysięcy, dziesiątków tysięcy? – rozmaitych osób, zapach dorożkarza i zapach konia. Wyobrażał sobie, kto mógł być ostatnim pasażerem dorożki, tworzył jego historię, starał się odgadnąć, co czuł i na co po drodze zwracał uwagę.

No i wreszcie zaczynała się podróż. Kopyta wybijały rytm, koła dźwięczały do taktu, dorożkarz cmokał i strzelał z bąta, najczęściej poprzestawał jednak na dość niemrawym potrząsaniu lejcami. Konie szły, jak chciały, co też miało swój urok. Jazda trwała wtedy dłużej, chłopiec zamykał oczy i ukołysany miarowym kolebaniem się dryndy miał wrażenie, że coś go uniosło i niesie nie wiadomo gdzie. Nieraz uchylał jedno oko i widział nad sobą niebo z przesuwanymi się powoli obłokami. Nic więcej. Dźwięki, obrazy i wszelkie inne doznania łączyły się w harmonijną całość pozaświata, przez który płynął. Chciał, aby ten stan trwał i trwał w nieskończoność.

Bywały jednak dni, gdy dryndy stały nieruchomo jedna za drugą, mroczne i nieme. Sprawiały wrażenie wielkich wychudzonych ptaszydeł z obłamanymi skrzydłami albo pokracznych zwierząt z zamierzchłych epok, zmęczonych samym istnieniem, mogących w każdej chwili obrócić się w proch. Wiatr szarpał podartymi derkami i połami kapot, miotał ogonami i grzywami. Skuleni dorożkarze, podobni do bezkształtnych narośli, kiwali się na swych siedziskach na wpół zamroczeni, na wpół jedynie przytomni. Można by pomyśleć, że trwają tak od tysiącleci albo i dłużej, oczekując na coś lub na kogoś, aby ruszyć jeden Bóg wie gdzie i jechać, jechać bez końca.

Chłopiec nie zbliżał się wówczas do nich. Bał się, że jak wsiądzie do dorożki, to nie zdoła już wysiąść i do końca życia, a nawet dłużej, będzie przemierzał opustoszałą przestrzeń. Widział ją wielokroć we śnie, czuł jej gorzki smak.

6.01.2022 r.

GNIADA

Chłopcu zdawało się, że jest ogromna i prawdę mówiąc, nieco (albo i więcej) się jej obawiał. Cóż... Miał przecież niecałe dwa lata i był zupełnym pędrakiem, który plątał się jeszcze wszystkim pod nogami. Gdyby uczepił się uzdy na głowie kobyły, wtedy najpewniej nawet nie zauważyłaby tej dziwnej ozdoby. Wszystko to pozostawało jednak poza zasięgiem dziecięcych rąk. Swobodnie mógł dosięgnąć co najwyżej do pęcín ponad końskimi kopytami.

Kobyła należała do wujka, który wraz z rodziną mieszkał tuż obok, zaraz za zagonem kapusty od strony domu dziadków chłopca. Bywał więc tam, gdy tylko nadarzała się ku temu okazja. Pewnie znowu poleciał do konia... Niech no sprawdzi ktoś w kapuście, czy gdzieś się tam nie wyrócił, mówiła ciocia, widząc, że nie ma go w pobliżu sionki. Ciekawe, że w późniejszym okresie, gdy chłopiec był już całkiem dorosły, na pytanie, gdzie się urodził, odpowiadał często, że nigdzie... Znalaziono go w kapuście...

Boczna furtka prowadziła prosto do stajni. Chłopiec, a właściwie dzieciak, co ledwie od ziemi odrósł, przeciskał się przez półotwarte drzwi (zamkniętych raczej nie dałby rady otworzyć) i stawał przed kobyłą. Nazywano ją, nie wiadomo dlaczego, Gniada, chociaż tak naprawdę była kasztanem, ale w tych wszystkich końskich sprawach zaczął orientować się dopiero potem. W owym czasie Gniada była dla niego Gniadą – wielką jak góra, przeżuwającą siano ze żłobu i od niechcenia machającą ogonem. On w milczeniu patrzył na nią z dołu, a potrafił

stać i patrzeć z godzinę lub więcej, ona zaś spoglądała na niego z góry. Prychała przy tym i szurała kopytem, pewnie ze zdziwienia, co to takiego ją odwiedziło.

O czym dzieciak wówczas myślał – czy w ogóle myślał o czymkolwiek – jeden Bóg wie. Możliwe, że jedynie patrzył i patrzył na Gniadę, aby się napatrzeć na całe lata, zapamiętać jak najwięcej z widoku i zapachu stajni, konia, siana. Aby nasłuchać się na zaś parskania, stukania podkową, prychania, szelestu ogona uderzającego o końskie boki. I nie przeszkadzały mu ani trochę duże muchy, latające wokoło z irytującym brzęczeniem. Ciekawe, czy kobyła także chciała go zapamiętać, bo przecież wystarczająco długo się mu naprzyglądała.

Wujek posiadał również krowy, które dzieciaka zupełnie nie interesowały. Po prostu były sobie, pasły się gdzieś na pastwisku, nieraz widział je wracające do obojścia i tyle. Wprawdzie pijał świeżo udojone mleko, ale do obory nie zachodził. Wystarczyło mu, że bawiąc się na łące nieopodal strugi niekiedy wdeptywał bosą stopą w krowi placek.

Minęło ileś miesięcy, które niepostrzeżenie zmieniły się w lata. Chłopiec wydorósł i zamieszkał w dużym mieście. Od dawna nie widział Gniadej, która w rzeczywistości była kasztanem. Jednak im był starszy, tym częściej o niej myślał. Pojawiała się w jego snach, wskakiwał na jej grzbiet i galopowali ponad horyzontem, ponad ziemią, a zdarzało się, że i ponad czasem. Nieraz przychodziła z całym stadem dzikich koni, pełnym rozwianych grzyw i ogonów, tętniących kopyt, napinających się ścięgien i mięśni. Ich rzenie napełniało go niezwykłą siłą, dawało moc. Pędził wraz z nimi, jak gdyby stali się istotami jednej krwi. Przekraczali kosmiczną pustkę, odkrywali pozaziemskie światy i tratowali wszystko, co stanęło im na drodze. Zasypiał, czując gorące oddechy i bicie wielu serc. Byli jednością.

Znowu niepostrzeżenie przeszło kilka lat. Chłopcu, w zasadzie już mężczyźnie, śniły się teraz wyłącznie zimne, głuche

przestrzenie, wypalony ścieg bez jakichkolwiek ludzi i koni. Błądził w mroku po własnych śladach, daremnie wypatrując choćby odrobiny światła. Budził się z trudem, coraz bardziej znużony, coraz bardziej martwy.

6.01.2022 r.

TARGOWISKO

Z dziecka wyrósł chłopiec i kobyła wcale nie sprawiała już na nim wrażenia takiej wielkiej. Zdarzało się, że wujek zabierał go na targowisko, które dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, odbywało się na dużym brukowanym rynku. Wóz załadowany był tyloma skrzynkami z warzywami i owocami, że pociągnięcie go wydawało się ponad siły Gniadej. Chłopiec obserwował zaintrygowany, jak kobyła za każdym razem bez problemu ruszała z miejsca. On, mimo to, wolał iść piechotą. Może bał się, że z jego szczupłą raczej osobą będzie jej zbyt ciężko? Kto wie.

Na rynek nie było znowu tak daleko, a wrażeń po drodze nie brakowało. Toczyły się pełne towaru wozy, także z uwiązanymi z tyłu krowami albo kozami. W klatkach wieziono kury, gęsi, prosięta, trafiał się niejedyn tłusty wieprzek. Poboczem podążali ludzie, pieszo i rowerami, wielu coś tam dźwigało na sprzedaż lub wymianę. Plac targowy od wczesnych godzin był wypełniony po brzegi. Atrakcja nie z tej ziemi. Dziesiątki wozów obok siebie, część koni wyprzęgnięta, jedne z treptuchami na pyskach, przed innymi kupka siana. Handel z furmanek, ale też z rozmaitych kramów, budek, tudzież z ręki. Tłum przetaczał się wte i wewte, witano się ze znajomymi, zatrzymywano na pogaduszki, tu i ówdzie wychylano kielicha. Gdzieniegdzie, bywało, dochodziło do kłótni, nawet bójek. No, ale przede wszystkim oglądano, targowano, kupowano, sprzedawano, wymieniano. Ziemniaki i kalafiory, cebulę i jajka, pszenicę w workach i gołębie, konie i chleb, mleko oraz wysokie buty, oficerki. Pomidory i ogórtasy. Żeberka i półcie wędzonego boczku. Coś wspaniałego.

Chłopca niezmiennie fascynował urok targowiska, cały ten rozgardiasz, będący jakimś zdumiewającym ludzko-zwierzęcym misterium. Chodził pomiędzy wozami, przysłuchiwał się rozmowom, gdakaniu, muczeniu, pochrząkiwaniu, poklepywał końskie pyski, przyglądał się towarom i rozważał, czy ta albo tamta kapusta jest ładniejsza od wujkowej. Wreszcie docierał do znajomego wozu, przy którym Gniada spokojnie delektowała się sieczką. Pomagał w handlowaniu, jak umiał. Podawał, przytrzymał, ważył, liczył, dawał, odbierał. Bardzo mu się to podobało. Potem, w dorosłym wieku, wielokroć, jako kupujący i jako sprzedający, bywał na rozmaitych bazarach. Jak widać, wczesna nauka nie poszła w las.

Tymczasem targowanie dobiegało końca. Niesprzedane produkty zostały poukładane i zbierano się do domu. Wóz był zdecydowanie lżejszy i chłopiec wsiadał nań, nie obawiając się, że będzie dla kobyły nadmiernym ciężarem. Wujek brał lejce w dłonie, cmokał i wypowiadał zaklęcie: „hajda”, po którym Gniada, po chwili zastanowienia, niespiesznie ruszała. Niekiedy dodawał „kse” i „odsie”, co brzmiało znacznie bardziej zagadkowo. Chłopca, zanim dowiedział się, co oznaczają, zastanawiały te dziwne słowa. Mądra kobyła, myślał. Rozumie, co wujek do niej mówi. A gdy i on zrozumiał, wtedy mógł już pokierować wozem. Gniadą pewnie dziwił nieletni woźnica, ale na ogół spokojnie znosiła niewprawne powożenie. Najtrudniejsze okazało się skręcanie z ulicy w wierzeje wujkowego obejścia. Kobyła niewątpliwie sama by sobie poradziła, chłopiec natomiast nie miał jeszcze dostatecznego wyczucia. Na szczęście wujek chwycił mocno za uzdę i wprowadzał wóz na podwórze.

Po wielu latach chłopiec, teraz całkiem dorosły, przyjechał do miasteczka. Zmieniło się, rozrosło. Zniknęły ulice brukowane kocimi łbami, zniknęły piaszczyste pobocza. Nie było śladu po targowisku na rynku, nie ostał się ubogi sklepik na rogu, gdzie kupował landrynki na sztuki, pakowane w papierową tut-

kę. Dawno rozebrano kuźnię. Zamiast tego pojawiły się samochody, sygnalizatory świetlne, tablice informacyjne, reklamy i znaki drogowe. Zebry przecinające asfaltowe ulice. Mężczyzna chciał odwiedzić dawne miejsca, ale nie mógł ich odnaleźć. Chciał przejść się po targowisku, porozmawiać z ludźmi, popatrzeć na konie, potargować się o cenę torby pszenicy dla gołębi. Pragnął potrząsnąć lejcami i znowu zobaczyć, jak Gniada macha ogonem na znak, że zaraz ruszy. Jednak wszystko, co pamiętał, zniknęło.

Staął na rogu i popatrzył wokół siebie. Miał wrażenie, że znalazł się w jakimś obcym, nieprzyjaznym świecie. Nie było w nim ani dziadków, ani żadnych innych krewnych. Nie było wujkowej kobyły ani starych topoli. Nikogo tu nie znał, nikt też nie znał jego. Pozostał jedynie czas, chociaż było go coraz mniej.

6.01.2022 r.

CHLEB

Kiedy chłopiec był jeszcze dzieckiem, bardzo lubił obwarzanki, które dziadek przynosił nieraz z targowiska. Wypatrywał go wówczas niecierpliwie, a gdy zobaczył, że skręca z ulicy na ścieżkę prowadzącą do domu, wybiegał naprzeciw, wołając radośnie: „Dziadek, dziadek!”. Chwytał staruszka za rękę i szli tak razem, on podskakując nieco, dziadek niespiesznie, podpierając się laską. O, proszę, idzie dwóch urwipółciów, stary i młody, żartobliwie przygadywała im babcia.

Obwarzanki wisiały na papierowym sznurku, chłopiec przełamywał je i zjadał jeden po drugim. Niestety, szybko się kończyły. Nie zdarzyło się, aby choćby kawałek został na następny dzień. Lepsze od obwarzanków były drożdżowe bułki z sercem, ale też pojawiały się znacznie rzadziej. Jak mówiła ciocia, wymagają sporo pracy, a rozmaitych zajęć wcale jej nie brakuje. Bez słodkich bułek można się przecież obejść. Chłopiec obchodził się więc bez nich. Czasem jednak w pokoju na tyłach domu zauważał blachy ponakrywane płóciennymi ściereczkami. Pod nimi leżały sobie bułeczki, dojrzewając przed wypiekiem. Wydawało mu się, że jest ich mnóstwo, ale pewnie wciąż miał problemy z liczeniem.

Zasypiał, niepokojąc się trochę, czy nie znikną, zanim rano wstanie. Tymczasem późnym wieczorem blachy trafiały do pieca w pobliskiej piekarni. Do domu wracały już pięknie upieczone drożdżówki. Ciocia układała je w starym wiklinowym koszu, każdą warstwę przekładając płótnem. Rankiem budził chłopca unoszący się w powietrzu ich niezwykły zapach. Na wpół śpią-

cy, z niezupełnie otwartymi oczami, wciągał tę woń tak głęboko do płuc, że nieomal kręciło mu się w głowie. Wstawał i zaglądał do kosza, aby upewnić się, że bułki są. Były. Sam ich nie brał. Wiedział, że dostanie tyle, ile ma dostać. Jedną, to jedną. Dwie, to dwie. Trzymał wtedy bułkę w obu dłoniach i obwąchiwał niczym królik marchewkę. Później, powoli, obgryzał dookoła małymi kęsami, zostawiając na koniec najsmaczniejszy kawałek: środek ze wzgórkim słodkiego sera.

Można by przypuszczać, że chłopcu najbardziej ze wszystkiego przypadły do gustu właśnie obwarzanki oraz bułki z serem. Poniekąd to prawda, ale było poza tym coś innego, coś zupełnie zwyczajnego, za czym przepadał. Oczywiście we właściwym rozumieniu tego słowa. W każdym razie mógł to jeść codziennie.

Chleb... Wielki okrągły bochen wiejskiego chleba. Ni to ciemnego, ni to jasnego. Mieszanego. Pięknie wypieczony, z chrupiącą skórką i twardym spodem. Smakował wyśmienicie również nazajutrz. Na dłużej właściwie nigdy nie wystarczał. Ciocia, przyciskając bochen do piersi, ze słowami „W imię Boga” odkrawała przylepkę i dawała chłopcu. Wydłubywał z niej miąższ, ugniatał w wałeczek i powoli zjadał. Skórkę zaś związał w rulonik albo odrywał kawałek po kawałku i wrzucał do ust. Bywało, że przychodził z dworu w środku dnia i rozglądał się za czymś do zjedzenia. Głodny jestem, mówił. No i dostawał w jedną rękę grubą kromkę posmarowaną świeżym masłem, w drugą pomidora lub ogórka, przyniesionego przed chwilą z zagonu nieopodal domu. Nie było od tego nic smaczniejszego. Z czymś takim nie równał się nawet chleb posmarowany śmietaną i posypany cukrem.

Ilekcroć chłopiec przechodził obok piekarni, to za każdym razem pragnął zostać piekarzem. Podobał mu się aromat świeżo upieczonego chleba, a myśl, że mógłby jeść go, ile tylko by zechciał, też miała swoje znaczenie. Nie zdawał sobie wszakże

sprawy, że żaden pewnie piekarz nie zjada pieczywa więcej niż każdy inny człowiek. Przekonał się o tym, gdy będąc kilkunastolatkiem przepracował w piekarni kilka wakacyjnych miesięcy. Chleba jadł tyle co zawsze, ale zapach, ten wspaniały zapach wyjętych z pieca bochenków długo śnił mu się po nocach.

Mężczyzna, który wyrósł z chłopca, mimo upływu lat nadal pamiętał o przysmakach swojego dzieciństwa. W rozmaitych sklepach, większych i mniejszych, można było teraz kupić kilkanaście, a może i więcej gatunków pieczywa. Chleby żytnie i pszenne, chleby mieszane, gryczane, owsiane i kukurydziane. Z burakami lub żurawiną, z pestkami dyni albo ziołami. Do wyboru, do koloru: jaki się komu zamarzy. Tyle tego wszystkiego, że nie wiadomo, na który się zdecydować. Kupował zatem raz taki, raz inny, po nim kolejny. Niektóre całkiem mu smakowały – ale wyłącznie te świeżo upieczone. Potem nie.

Z czasem zniknęły niewielkie piekarnie, a wraz z nimi ręcznie formowane bochenki wypiekane w piecach opalanych drewnem. Dzisiejszy chleb wcale nie pachnie chlebem, stwierdzał ze smutkiem. Niby nic takiego, ale czuł, że znowu coś bezpowrotnie minęło, przypadło. Smak... Zapach...

14.01.2022 r.

DZIEŃ PRAWIE WIOSENNY

Rozpoczął się nowy marcowy tydzień. Dzień był ciepły, pokazało się nawet słońce. Można śmiało powiedzieć, że czuło się już wiosnę.

Śródmiejska galeria handlowa wabiła rozbłyskami światła, relaksacyjną muzyką i wyraźnie wyczuwalnym aromatem świeżo parzonej kawy. Ruch panował spory, chociaż dochodziło dopiero południe. Młodzi ludzie sunęli niespiesznie, pojedynczo albo parami, trzymając się za ręce. Wielu chłopców przypominało dziewczyny przebrane dla żartu w męskie ciuchy, ale mimo starań nadal wyglądające dziewczęco. Niektóre zaś dziewczyny sprawiały wrażenie chłopaków, niezbyt udanie naśladujących swoje koleżanki. Pojawiały się również osoby niezdecydowane, podobne zupełnie do nikogo.

Wszyscy oni bez większego zainteresowania spoglądali na wystawy, przystawali, rozmawiali. Czasem wstępowali do księgarni lub sklepu. Nie rozstawali się ani na chwilę ze smartfonami, co rusz na nie spoglądając, jakby spodziewali się znaleźć tam Bóg wie jak ważne informacje, niezbędne właśnie teraz i właśnie tutaj. Bywało, że zatrzymywali się nagle i w wielkim skupieniu przesuwali palcami po ekranach, w dół i w górę. W górę i w dół. Na wszelki wypadek, żeby czegoś nie pominąć. Czego, chyba sami nie wiedzieli. Inni jeszcze jedynie tędy przechodzili: z jednej strony galerii na drugą i odwrotnie. Nie rozglądali się i nie zatrzymywali. Zapewne pragnęli zażyć odrobinę ruchu, aby wzmocnić kondycję. Gdy osłabli, wyciągali się znużeni w rozstawionych gdzieniegdzie siedziskach. Natychmiast

sięgali do kieszeni po smartfony i nadawali coś w kosmos. Całkiem też prawdopodobne, że odbierali stamtąd jakieś wiadomości, na przykład instrukcje działania na dany miesiąc.

Swojskiego, bez mała sielankowego charakteru nadawały galerii spacerujące z pociechami mamy. Zaaferowane pchanie wózków zerkają wciąż, jakżeby inaczej, na nieodłączne smartfony. Ruchy miały opanowane, właściwie perfekcyjne, i wraz ze swoimi pojazdami zręcznie omijały wszelkie przeszkody. Było także sporo tatusiów, prowadzących za rękę co bardziej wyrośnięte potomstwo i dźwigających torby z zakupami. Myny mieli zaaferowane, prawdopodobnie trochę z powodu braku trzeciej ręki do trzymania smartfona. Gdy wpadły na siebie znajome rodziny, to stawały na środku przejścia, witając się radośnie i głośno oraz wymieniając rozmaite ważne uwagi z zasady o niczym. Wreszcie, równie radośnie i głośno, żegnały się i rozchodziły.

Mniej, na pozór, rzucały się w oczy osoby starsze, ale wcale ich tu nie brakowało. Pary, trzymając się za ręce, aby zaznaczyć młodzieńczość uczuć lub bojąc się zgubić, wstępowały zazwyczaj do sklepów spożywczych, nieraz do gospodarstwa domowego. Dla wielu dojrzałych pań galeria stanowiła świetne miejsce do spotkań z przyjaciółkami. Siadały przy kawie oraz ciastkach, wspominały dawne dzieje sprzed kilku dni i z błyszczącymi oczyma opowiadały sobie o wnukach, chorobach oraz polityce. Niektóre wyciągały telefony, stare modele z klawiszami, i z przejęciem prowadziły dyskretnie osobiste rozmowy, słyszalne przez wszystkich wokół. Posiadaczki smartfonów z wypiekami na twarzy palcowały ekrany, niewątpliwie w poszukiwaniu nowego, wyjątkowego przepisu na drożdżowy placek.

Starsi panowie gubili się natomiast w poszukiwaniu toalety. Bardziej sentymentalni przypominali sobie z rozrzewnieniem, że przed bożonarodzeniowymi świętami pośród kabin i pisuarów rozbrzmiewały kojące tony kolęd. Nie ta pora, reflektowali się jednak dość szybko i beznamiętnie załatwiali co trzeba.

Wychodzili wyraźnie żwawiej, cielesnie odprężeni i duchowo wzmocnieni. Potem, albo i przedtem, szli do empiku, przewertować ulubione czasopisma. Zdarzało się też, że zastygali niespodziewanie w pół kroku, wpatrzeni w jakiś widoczny wyłącznie dla nich odległy obraz. Dzwonili raczej rzadko, widocznie nie mieli do kogo lub najzwyczajniej w świecie nie czuli takiej potrzeby. Aż dziwne.

Jednym słowem galeria tętniła życiem: wystawy kusily towarami, światła migotały, a ludzie chodzili wte i wewte. Ich głosy to wznosiły się, to znowu opadały i wirowały – niby młody strumyk szemrzący wesoło po kamieniach. Dobrze by się spało przy takich dźwiękach, bezpiecznie. Emocje, jeśli w ogóle były, skutecznie rozmywały się w niezobowiązującym pogwarze. Nic, tylko usiąść na ławce, przymknąć oczy i w rozleniwieniu oddać się marzeniom, na przykład o spotkaniu kogoś interesującego, kogoś atrakcyjnego, o kim od dawna marzyliśmy.

Z boku, przy filarze, stanęła akurat blondynka, bodajże trzydziestoletnia, nie za wysoka i nie za niska, nie za gruba i nie za chuda. Taka w sam raz. Nieco bladawa, ale z tą bladością było jej całkiem do twarzy. Rozmawiała z kimś, a raczej z wyczuwalnym napięciem słuchała. Przyciskała smartfon mocno do ucha, trzymając go kurczowo, aż zbielały jej palce. Druga dłoń, opuszczona wzdłuż ciała, miała rękawiczkę. Naraz, ledwo dostrzegalnie, poruszyła głowę, drgnęła. Może usłyszała jakąś przerażającą wiadomość, może w tym momencie rozpadł się cały jej świat. Ktoś bliski, najbliższy, przepadł, zginął. Otworzyła nieco usta, zamknęła, ponownie rozchyliła. Powiedziała dwa, co najwyżej trzy niezrozumiałe słowa. Jakie – któż to poniewczasie odgadnie. Oparła się plecami o ścianę i osunęła, pół kucając, pół kłęcząc, z załamanymi pustymi rękoma. Istna galeriowa pieta.

Kobieta zastygła na posadzce, podobnie znieruchomiało wszystko dookoła. Chłopak z przepraszającym i bezradnym uśmiechem, jęgo dziewczyna, zirytowana oderwaniem od smart-

fona, starsza pani w zaparowanych okularach, która nie miała pojęcia, o co chodzi, oraz pan w nieokreślonym wieku, zawstydzony publicznym okazywaniem słabości. Sekundę później otoczenie ożyło. Pani przetarła chusteczką szkła i wzruszyła ramionami, pan westchnął raz i drugi, przestępując z nogi na nogę, jakby zgubił drogę. Młody człowiek zaczerwienił się lekko i spojrzał na swoją sympatię, z entuzjazmem pukającą w smartfonowy ekran. Bolejąca pod ścianą blondynka nie rzucała się w oczy, zgoła jak fachowo dopasowany element wystroju wnętrza. Znowu jaśniały światła, rozbrzmiewała miła muzyka, w powietrzu unosił się zapach kawy. Dzień był przecież nieomal wiosenny.

21.03.2022 r.

Musa Çaxarxan Czachorowski



Ahat Muszyński

AKSYM

Biały wilk znajdował się w swoim nowym legowisku – zagrodzie w zoo – i obserwował ze zdziwieniem kilkunastu silnych młodych ludzi, którzy przyglądali się mu zza grubych metalowych prętów ogrodzenia. Mieli na sobie identyczne sportowe kurtki, ozdobione na piersi naszywką z zębatym profilem jego, polarnego wilka, pyska. Dwóch z nich ubrało się jednak inaczej. Jeden, gruby i łysy, z rumianą twarzą, był w płaszczu, bez szalika, ale pod krawatem. Drugi, młodszy, o dość nieokreślonym wyglądzie, z rzadkimi włosami starannie zaczesanymi do przodu i oczami koloru wrześniowej, wypalonej tundry, kulił się w lekkiej kurteczce bez jakichkolwiek oznaczeń. Te jego oczy, podobne do wilczych, wydawały się zwierzęciu znajome.

– Widziałeś kiedy takiego? – zwrócił się do niego łysy, oparłszy mocną dłoń o barierkę, mającą powstrzymać zwiedzających przed zbyt bliskim podchodzeniem do głównego ogrodzenia. W drugiej ręce trzymał czarną aktówkę.

– Nie – odpowiedział niepozorny. – Z takim się nie spotkałem. Jest sporo większy od naszego, szarego.

– Ależ piękny! – powiedział jeden z tych w kurtkach, wysoki, z wyraźnie zaznaczonym skośnym przedziałkiem, dzielącym fryzurę na dwa ciemne skrzydła. – Popatrz, Kasza, jak miło i spokojnie wygląda. A tutaj – przejechał dłonią po naszywce na piersi – taka straszna paszcza.

– Jasne – uśmiechnął się kolega – niechby cię tylko dopadł w szczerym polu... Wiem coś o tym. One nawet dzisiaj rozszarpują wiejskie bydło na Wiatce.

Bezbarwny chudawy człowieczek, mrugając często białawymi i rzadkimi rzęsami, obrócił się do sąsiada:

– A mówiłeś, że białe wilki są jedynie w bajkach...

Stojąc tak przy wybiegu, rozmawiali, dowcipkowali, ale też uważnie słuchali przewodniczki, smagłej dziewczyny o jastrzębiej twarzy, świetnej znawczynie wilków, jak ją wcześniej przedstawiono.

– Wilki arktyczne lub, jak się je nazywa, polarne oraz tundrowe³¹ żyją w grupach rodzinnych – opowiadała – i źle czują się w stadach. Wilcze pary małżeńskie pozostają sobie wierne przez całe życie. Bez urzędów stanu cywilnego i umów ślubnych ściśle przestrzegają monogamii. Ich potomstwo to zwykle, w zależności od rozmaitych warunków naturalnych, dwójka, czwórka albo więcej młodych. W zeszłym roku zdarzyło mi się obserwować rodzinę z czterema wilczętami. Zdarza się, że w tym samym legowisku mieszka z nimi dziadek lub babcia, a nawet jakiś wujek. Pomagają rodzicom wychowywać potomstwo.

Wilk stracił zainteresowanie ciekawską gromadą. Dostojnie zatoczył krąg wokół wybiegu i położył się, kładąc mocną głowę z krótkimi sterczącymi uszami na wyciągniętych łapach. Leniwie patrzył na drużynę hokejową zwaną Białymi Wilkami, rozmyślając pewnie o własnych sprawach. Było to potężne, ważące około osiemdziesięciu kilogramów, srebrzystobiałe zwierzę. Jego szyję otaczał śnieżnobiały bujny szal gęstej sierści. Wilk leżał nieruchomo, od czasu do czasu uderzając ciężkim ogonem o betonową podłogę.

³¹ Chodzi o wilki polarne (arktyczne) *Canis lupus arctos*, wilki tundrowe z Alaski *Canis lupus tundrarum* oraz wilki tundrowe syberyjskie *Canis lupus albus*, będące podgatunkami wilka szarego, *Canis lupus* (przyp. tłum.).

– Nazwaliśmy go Aksym – kontynuowała dziewczyna – co oznacza Białas. Były jeszcze inne propozycje, ale według mnie Aksym jest najlepsze. Krótko i słodko...

Tundra, podobnie jak wszystko inne na ziemi, ożywa wiosną. Oczywiście nie tak szybko i jednoznacznie jak w środkowej strefie. Pozbywa się śnieżnych ubrań niczym piękność, która zna swoją wartość, powoli, nie bojąc się spóźnić na powszechne wesele. Pierwsze odsłaniają się piersiaste wzniesienia, na których najszybciej ze wszystkich rozkwitają drobniutkie kwiatki— żółte, czerwone, liliowe... I oto już nad nimi unoszą się *tundrianki*³², zaś między nimi wesoło smyrgają norniki, a w oddali, na podwyższeniu wzdłuż doliny, toczy się żywą falą stado reniferów.

Wiosna i lato to wspaniały czas dla wilcząt. Aksym mieszkał w legowisku wygrzebanym u podnóża niewielkiego wzniesienia, razem z ojcem, matką, dziadkiem i siostrą, równie wesołą i swawolną jak on sam. Od rana do późnego wieczora psotnik i psotnica dokazywali pod dobrym letnim słońcem — gonili za nornikami, walczyli ze sobą, gryźli ogony i uszy rodziców i dziadka. Najbardziej dostawało się oczywiście matce, na drugim miejscu był dziadek (jej ojciec), stary polarnik z siwym pyskiem, który stał się bielszy od jego sierści, która z biegiem lat pociemniała od karku do ogona. Rzadko nadarzała się okazja do zabawy z rodzonym ojcem. W nocy polował, natomiast w dzień zwykle spał na słońcu lub, w zależności od nastroju, w cieniu.

Z początkiem jesieni wielobarwna, pstrokata tundra przybrała na całej swojej przestrzeni monotonną wyblakłą barwę. Przymrozki uderzyły w niziny i popęzły wężyki pierwszego śniegu. Jednak wrześniowe chłody nie ostudziły wilcząt, ich wesołe usposobienie wciąż dawało o sobie znać. Podrosły, wzmoc-

³² *Тундряная куропатка, tundrianaja kuropatka* – pardwa górska (*Lagopus muta*), ptak z rodziny kurowatych (przyp. tłum.).

niły się i pędziły po dolinie jak dwie szare błyskawice. Skąd tyle w nich energii i entuzjazmu?! Stary wilk leżał na wzniesieniu i pod nieobecność rodziców, którzy poszli do wodopoju, obserwował młodych.

Ojciec i matka również wrócili w wesołym nastroju. Wypoczęci, jeszcze mokrzy (aby się napić, weszli do wody po pierś), rozpryskiwali ze swojej srebrzystej sierści miriady perłowych kropeł. Wtem, jak dzieci, zaczęli zabawiać się w berka, targać wzajemnie za karki, gryźć, czule odsłaniając kły, po czym spokojnie pocierali się nosami.

Niezakłócony niczym spokój panował w wilczym legowisku pod ponurymi wrześnieowymi chmurami, wiszącymi ciężko nad opustoszałą, zamarzającą ziemią. Tylko gdzieś niebo zajaśniało błękitnymi jeziorami i z rzadka przez poszarpane szczeliny prześlizgiwał się nagle promień słońca. Ale to wystarczyło. Co tam! Nie dzisiaj, a jutro opuszczą swoje letnie domostwo i cała rodzina, wyrosnięta, wzmocniona, pójdzie za stadami jeleni do cieplejszej lasotundry.

Stary wilk spokojnie obserwował rozweseloną rodzinę, gdy nagle jego wrażliwe ucho wychwyciło stłumiony pomruk, dochodzący gdzieś zza chmur. Nadstawił uszy, podniósł głowę, ale nie dostrzegł żadnego niebezpieczeństwa. Mimo to wstał, obszedł dookoła, rozglądając się z niepokojem, i znowu ułożył na uschniętej trawie. Naraz sobie przypomniał. Słyszał ten huk jako dziecko. Wtedy także najpierw go usłyszał, a potem na niebie zajaśniała błyskawica w towarzystwie grzmotów i trzasków. Tamtego straszego dnia zginęła cała jego rodzina. Jakim cudem przeżył? Nie pamiętał. Zabrał go brat ojca i dorastał w jego rodzinie. Uświadomiwszy to sobie, stary wilk skoczył w oka mgnieniu, wyjął, i rzucił się do wilcząt. Z przyzwyczajenia złapał jedno z nich, Aksyma, i chciał zaciągnąć do legowiska, ale się przeliczył: wilczek zamienił się w prawie dojrzałego roczniaka i był zbyt ciężki do przeniesienia.

Alarm został wszakże odebrany. Siostra jako pierwsza pospieszyła do schronienia w domu ojca u podnóża wzniesienia. Za nią Aksym popychany przez dziadka. Rodzice pomknęli przez polanę, z położonymi po sobie uszami i opuszczonymi ogonami. Wtedy z wielkiej niebieskiej dziury w pokrywie chmur wyłonił się ogromny ryczący ptak i zaczął gwałtownie opadać wprost na nich. Siostra dopiero co wpadła do legowiska, gdy zatrzeszczała sucha burza. Najpierw powaliła matkę. To było tak, jakby natknęła się na niewidzialną przegrodę. Upadła, kilkakrotnie przewróciła się na bok i zastygła. Zza jej ucha spływała na śnieg szkarłatna, parująca strużka. Potem potknął się ojciec i wywinął kozła przez głowę. Dziadek ponownie popchnął wnuka i przysiadł. Z wnętrza stalowego ptaka wyleciała wąska drabinka sznurowa, po której zszedł mężczyzna. Nie był Eskimosem, Czuczą ani Jukagirem... Wilk dobrze mu się przyjrzał. Błada twarz, na gołej głowie niedbale rozrzucone cienkie włosy, żółte, kocie oczy utkwione w biegnącym drobnym kłusem Aksymie, w rękach jakaś rura...

Ptak nadal opadał i szedł od niego tak silny podmuch, że pod jego naporem Aksym nie mógł ustać i włókł się przez burzany do góry nogami. Pokraczne ptaszysko minęło dziadka, pozostawiając go poza zasięgiem wzroku, ale stary wilk nie spuszczał z niego oczu. Nagle z czarnego gardła rury, która znajdowała się w rękach bladego mężczyzny, wyleciała pomarańczowa struga, rozwinęła się w locie, rozłożyła... i opadła na wilczka. Była to specjalna myśliwska sieć. Oplątała Aksyma...

Tymczasem olbrzymi sęp opadł tak nisko, że drabinka sznurowa, obciążona przez strzelca, prawie dotknęła ziemi. Wilk, pokonując diabelski podmuch, słabszy pod samym ptakiem, rzucił się do walki. W mgnieniu oka zrównał się z drabinką, skoczył z całej siły, wbił zęby w skreconą linę i zawisł na niej całym swoim potężnym, ważącym dobrze ponad pięćdziesiąt kilogramów, ciałem. Drabina zaskrzypiała, wygięła się jak ża-

giel i strząsnęła z siebie strzelca. Odleciał daleko. Powietrzny olbrzym gwałtownie się obniżył, wilk ledwo zrobił unik. Ptak usiadł, wznosząc chmurę kurzu i śniegu, i wypuścił ze swojego wnętrza jeszcze dwóch bladolicych. Jeden pobiegł do leżącego nieruchomo współtowarzysza, drugi do zaplątanego w sieci Aksyma. Wilk rzucił się naprzeciw temu drugiemu, ale powaliła go błyskawica, uderzając swym latającym płomieniem prosto w oczy. Jej huku już nie usłyszał.

I chociaż Aksym gryzł i drapał, bladolicy przybysze zaciągnęli go wraz z prawie zabitym strzelcem do swego latającego legowiska.

– Mówisz, że takiego jeszcze nie widziałeś? – ponownie zapytał łysy grubas pod krawatem i przełożył aktówkę z ręki do ręki.

– Powiedziałem przecież, że nie! – zirytował się niepozorny.

– To nie polowałeś w tundrze na wilki?

– W jakiej tundrze?!

– Sam mówiłeś.

– Wspominałem o stepach orenburskich.

– Jasne... – gruby kiwnął porozumiewawczo głową. Otworzył aktówkę i wyciągnął pęto wędzonej kiełbasy. Trzymał ją przez moment w ręce, jakby zapomniał, dlaczego to zrobił, potem odłamał połowę i rzucił uwięzionemu zwierzęciu. Kiełbasa wywinęła między prętami ogrodzenia zgrabne salto mortale i wylądowała nieopodal wilka. Przewodniczka zwróciła mężczyźnie uwagę. Odezwała się powściągliwie, można powiedzieć dobrotliwie:

– Karmienie zwierząt jest u nas zabronione.

Młodzieńcy w kurtkach zareagowali inaczej.

– Kretyn! – nie wytrzymał któryś.

Łysy odwrócił się, ale nie zorientował się, który z nich tak mu przygadał. Za jego plecami tłoczyło się kilkunastu krzepkich

młodzieńców w jednakowych sportowych kurtkach. Wszyscy przypatrywali się wilkowi i cicho rozmawiali między sobą. Ten natomiast nawet uchem nie ruszył. Całkiem jakby leżało obok niego jakieś łajno, a nie flak wypchany pachnącym mięskiem.

Swobodne dni życia na rozległych przestrzeniach rodzinnej tundry pozostały w krótkich bajkowych snach. Wydawało się, że nigdy się nie skończą, że tak będzie zawsze. Nie, te oto kilka metrów kwadratowych betonowej podłogi, kamienne ściany – to jego nowe mieszkanie, szczelnie ogrodzone niezniszczalną żelazną palisadą, przez którą przedostają się zaledwie rzadkie podmuchy wiatru.

Wieczorem Gabdrahman *abyj* jak zwykle po zamknięciu ogrodu zoologicznego roznosił jego mieszkańcom jedzenie. Przydzielona mu była zachodnia galeria z kunami, lisami i wilkami, w tym też Aksymem. Ostrożnie ułożył w specjalnym pojemniku świeże mięso i podsunął zwierzęciu. Następnie otworzył metalowe drzwi i przeznaczonym do tego haczykiem wyciągnął nietkniętą kielbasę.

– Aj... W ogóle nic nie jesz, Aksym – odezwał się z rozczarowaniem. – Taki byłeś dżygit, gdy przyjechałeś, a teraz wychudłeś na kość. – *Abyj* nieco sobie podpił: – Jedz, przecież przyniosłem świeże mięso. Musisz się dobrze odżywiać. Wiem, bo sam siedziałem. Młody byłem, gorący. Potem okazało się, że zupełnie niewinnie... Tak to bywa... *Asza, asza...* Wcale nie patrzę...

Wydawało się, że wilk leży i słucha jednostajnej, spokojnej wypowiedzi człowieka. Gdy ten zamilkł, trącił nosem kawałek mięsa, przewrócił łapą, niechętnie pożuł, a potem z warknięciem rozerwał i łapczywie zjadał duże kawałki.

– *Aaa...* Dobrze, *maładiec*³³! – Gabdrahman *abyj* jak zwykle

³³ *Молодец* (ros.) – zuch, chwata. Autor zapisał ten wyraz błędnie: *maladey*, chcąc zaznaczyć charakterystyczne dla Gabdrahmana akanie, czyli nieodróżnianie nieakcentowanego /a/ i /o/, o czym kilkakrotnie wspomina (przyp. tłum.).

silnie akcentował „a”. Rozsiadł się wygodnie przy wpółotwartych drzwiach i kontynuował swój szczery monolog. – Właściwie także jestem samotnym wilkiem. Moja żona stamtąd na mnie nie czekała. I mama się nie doczekała – umarła. Gdy wróciłem, to poszedłem do swego najlepszego przyjaciela. Pomyślałem, że zrobię mu niespodziankę. Wziąłem ze sobą butelkę, co nieco zakąski, wszedłem na piętro, dzwonię, a drzwi otwiera moja żona. Witaj! Czy wy, polarne wilki, możecie na sobie wzajemnie polegać? Chociaż... Niech to... Wasze rodziny są silniejsze od ludzkich. Poszedłem się utopić. W pobliżu mamy duże jezioro, nazywa się Kaba. Kaba po tatarsku znaczy „połyka”. Ile ludzi w nim utonęło, ile narodu i dobra pochłonęło! Nawiasem mówiąc, nasz ogród zoobotaniczny znajduje się na jego brzegu, woda na wyciągnięcie ręki. Miałem tam blisko niewielki domek. Już go nie ma, rozebrali. Założyłem czystą białą koszulę, no i poszedłem...

Wilk popatrzył uważnie na człowieka.

– Tak, Aksym... Wy nie jesteście do tego zdolni, ale my, ludzie... *Ajda*³⁴, proszę cię bardzo! Tylko mi nie wyszło. Nie, wszedłem do wody, popłynąłem dalej na głębiej, a tam niewielka plaża – piaszczysta łacha między wierzbowymi zaroślami – ludzie się opalają, kąpią... Pogrzeb stylem klasycznym, na sposób morski, znaczy się, postanowiłem nie tylko na głębinę, ale jeszcze skierować się na bok, za tę wierzbę, jak najdalej od ludzi. Pływam dobrze, na Kabie się urodziłem, na Wołdze wyrosłem. Patrzę, płynie chłopiec, trzyma się gumowej piłki, całkiem łysy, głowa gładka, lśniąca jak piłeczka. Daleko odpłynął, nawet zwróciłem rodzicom uwagę, dlaczego pozwolili chłopcu odpłynąć samemu tak daleko?! Tak się zirytowałem, że zapomniałem, po co wszedłem do wody. Uspokoilem się (przypomniałem sobie, gdzie pływam), kiedy piłka wyskoczyła z rąk chłopca i biedak zniknął pod wodą. Wynurzył się na moment,

³⁴ *Ajda* (tat.) – idziemy, dawaj, chodźmy, por. polskie *hajda*: idziemy, naprzód, dalej! (przyp. tłum.).

zatrzepotał bezradnie – nie umiał pływać. Miałem do niego pięć metrów. Przerzuciłem się z żabki na kraul i do przodu. Chciałem jak należy złapać go za włosy, ale on, jak mówiłem, łysy, na zero ostrzyżony. Trzeba się było napracować... Wyciągnąłem, oczywiście... Matka gdacze, całuje swego synka, ten zaś płacze, bo piłka odplynęła... Zacumowałem jego dwukolorową jednostkę pływającą i pojawił się tata. Wypiliśmy sobie, no i zapomniałem, w jakim celu nad jezioro przyszedłem. Oznacza to, że wówczas ten chłopiec mnie ocalił!

Wilk słuchał, jakby wszystko rozumiał. Zjadł swoją kolację i teraz oblizywał się, jakby dawał do zrozumienia, że nie miałby nic przeciwko dokładce...

– Więcej nie można – powiedział Gabdrahman *abyj*. – Tyle głodowałeś i od razu *ajda*... Jeszcze dostałbyś skrętu kiszki. Ja ci nie żałuję, ale nie można, *dustym*³⁵...

Zwierzę położyło głowę na wyciągniętych łapach, całym swoim wyglądem mówiąc: „Ja wcale nie chcę, sam prosiłeś... Po prostu ciekawi mnie, czy twoja żona potem wróciła?”

– Nie, nie wróciła. Mówię ci: ja, podobnie jak ty, jestem samotnym wilkiem. Teraz, co tam, przywykłem. Chodzę wśród was... Okazuje się, że z wiekiem zdajesz sobie sprawę, że to, z powodu czego kiedyś chciałeś się utopić, nie jest w życiu najważniejsze. – Gabdrahman *abyj* wyprostował się i zapiął kurtkę po sam podbródek. – Chłodno. I to ma być wiosna... Tobie dobrze z takim futrem! – Były więzień i ratownik wzdrygnął się. – Pójdę do swojej komórki, a ty nie rozpaczaj. Powiadają u nas: los jest losem, a wola jest wolą. I jeszcze, tam – wskazał głową na stronę – mówili: wolność jest słodsza od śmierci. Jak to zrozumieć? Właśnie... Jak chcesz, tak też zrozum – z tymi słowami *babaj* zniknął w ciemności za drzwiami.

Aksym popatrzył za nim. Nie miał nic przeciwko temu człowiekowi. Zwierzęta, jak nikt inny na świecie, świetnie wyczu-

³⁵ *Dustym* (tat.) – mój przyjacielu.

wają, od kogo wieje zło i niebezpieczeństwo, a kto nosi w sobie spokój i dobro. Odnajdywał coś bliskiego w tym starszym już mężczyźnie. Był w jakiś sposób zrozumiały, przewidywalny, bez tej ukrytej, nikczemnej agresji tkwiącej w ludziach. Patrzcie, nawet zjadłem! Nieomal z jego rąk. Każde zwierzę jest prostsze od człowieka, prostolinijne, od razu wiadomo które jest którym i czego chce. Ludzie są różni. Spróbuj się w tym rozeznaczyć... Aksym ponownie spojrzął za mężczyznę. Jego szurgające kroki oddalały się i w końcu ucichły. Cóż to, nie zamknął za sobą drzwi? Zapomniał, staruszek! Niezdarnie pokryte lekkim metalem pozostały uchylone. Wilk przez chwilę leżał nieruchomo, czekając na powrót *babaja*, po czym wstał i powoli zbliżył się do niezwykle pociągających drzwi.

Za nimi znajdowała się nieoczekiwana swoboda, za nimi była wolność, bez której wilk nie jest wilkiem. Aksym spokojnie oddalił się od ziejącej dziury w swoim żelbetowym worku, zatoczył dwa kręgi wokół znienawidzonej pułapki, nasłuchując i patrząc poprzez żelazne pręty alei. W mgiełce zmierzchu rysowały się odległe woliery z jakimiś dzikim ptactwem – wszędzie cicho, sennie, jak zawsze. Znowu zbliżył się do niespodziewanie otwartego wyjścia z niewoli. Oczywiście otwartego nie na oścież, ale niezamkniętego, a nawet uchylonego. Aksym wetknął pysk w ciemną szczelinę, pokręcił głową, pomógł sobie łapą i ciężkie drzwi zaskrzypiały, ustąpiły...

Szybko wyszedł z zoo, a przestraszone zwierzęta w swoich wygodnych klateczkach – mrucały, chrząkały, gdakały... *Babaj* miał rację: jezioro znajdowało się tuż za niskim, na wpół rozwalającym się ogrodzeniem. Woda tutaj, jak widać, nie zamarza przez cały rok. Ciemniała w dole otoczona śniegiem, odległym lodem i wesoło mrugającymi światłami tego brzegu. Zdarzało się, że mgły z wolnej od lodu wody dolatywały smugami do jego legowiska i nawet bez *babaja* czuł zapach odkrytej wodnej przestrzeni. Cóż jednak z tego za kratkami?

Za to teraz... Silne łapy lekko niosły go po ubitym śniegu w dół zbocza ku wolności. Raptem lodowa skorupa nie wytrzymała i wpadł w mokre śniegowe ziarno aż po brzuch, nawet się skaleczył, ale czy to może być przeszkodą?!

Po dotarciu do wody Aksym stanął przed wyborem – czy pobiec brzegiem do pobliskiej przeprawy lodowej, czy płynąć na wprost? Nie, nie chciał chodzić po tej przeklętej, niepokojącej stronie jeziora i Kaba przyjęła rozgrzane zwierzę w swe lodowate objęcia.

Jezioro, nasycone roztopionym śniegiem, nie wydawało się wilkowi zimne i nieprzyjazne. Płynął. Zwyczajnie i spokojnie pracował łapami, oceniając swoje siły i odległość do przeciwnego brzegu.

Tam zaś już na niego czekali.

Po utracie ostatniego cennego nabytku i uzmysłowieniu sobie związanego z nim niebezpieczeństwa dla mieszkańców okolicy jeziora, kierownictwo placówki zoobotanicznej podniosło alarm. Pospieszenie powiadomione zostały organa policji, wojska, weterynarii i innych służb ratowniczych. Kiedy policyjny owczarek, który z łatwością wpadł na trop, z poczuciem winy zamachał ogonem przed leniwie szepczącym jeziorem, wszystko stało się jasne i szybko zorganizowano gęsty uzbrojony kordon na drugim brzegu. Ale jezioro Kaba to nie kałuża, nie sposób skontrolować wszystkie krzaki wokół. Zapadająca ciemność pogorszyła sprawę i wypełniła dusze żołnierzy oddziału zaporowego, wyrwanych z ciepłej pościeli i przytulnych dyżurek, niepokojem oraz poczuciem całkowitej ślepoty. W zamian wyostrzył się słuch i węch, jednak poza szczekaniem psów pasterskich, przeplatany skowyt kundli, niczego nie było słychać. Z jeziora nadlatywały zimne podmuchy wiatru i dobiegał lekki smród z pobliskiej fabryki mydła.

Wśród ludzi, niecierpliwących się w ciemności na przednim skraju obrony, kulił się myśliwy w zniszczonej kurtce, wezwany tutaj w nagłym przypadku. Objął wierną dubeltówkę i rozmyślał, że właśnie dzisiaj podziwiał w zoo piękne zwierzę, a teraz ta bestia płynie w jego kierunku, a jego przeznaczeniem jest spotkać i zabić zbiega. Policjanci? Cóż mogą zrobić ze swoimi pukawkami! Weterynarze z nabojami nasennymi? Śmieszny.

Za jego plecami, niedaleko, bawiło się światłami wieczorne miasto, ale tutaj, na brzegu, panowała zupełna ciemność. Ani księżyc, ani gwiazd. Jedynie długi promień reflektora z policyjnego wozu ślizgał się bezsensownie z boku na bok po bezkresnej wodnej przestrzeni. Obiecali pomoc w sprawie noktowizorów, ale czekają na obiecane trzy lata, a czas jest cierpliwy. Łowca odbezpieczył broń.

Aksym pewnie rozbijał piersią czarne fale. Przed nimi był jego jasny brzeg, przedwiosenna tundra z białym grzbietem wzniesienia, na którym wkrótce stopi się śnieg i rozkwitnie nowe życie. Otworzą się błękitne jeziora, zazielenią bezkresne doliny, zaroją wszelkiego rodzaju żywymi stworzeniami, z lasotundry powrócą jelenie, lisy polarne i pozostali na wolności krewni. Tuż przed świtem zatrzepocze skrzydłami śnieżna sowa...

Życie to zdumiewająca sprawa, nie da się go tak łatwo powstrzymać.

PIERŚCIEŃ Z TURKUSEM

Spotkali się w cukierni Wolfa i Berangera na rogu Newskiego i Mojki. Pierwszy pojawił się Puszkina. Wszedł, zdjął oprószone śniegiem cylinder i niedźwiedzią szubę, po czym spojrzął na swój srebrny zegarek z wieczkiem na zawiasach. Była za pięć czwarta.

W tejże minucie za wielkim oknem cukierni zatrzymały się dorożkarskie sanie w dwa konie, mignął czarny dwuróg z kołującą się na wietrze białym piórkiem i zadzwieczał dzwonek nad drzwiami...

– Jesteś jak zawsze dokładny, Niedźwiedziu!³⁶ – zawołał Puszkina, zbliżając się do wchodzącego oficera. – Byłeś u Kurakina?

– Oto one! – Danzas wskazał głową na płaskie pakunek pod prawą pachą. – Ma prawdziwy sklep z bronią!

Chciał otworzyć pudełko, aby zaprezentować francuskie pistolety mistrza Le Page'a z wszelkimi dodatkami, ale Puszkina powstrzymał go:

– Obejrzymy na miejscu, Kostia, zgodnie z zasadami. Na razie odłóż...

– Oczywiście spojrzeliśmy na nie z Kurakinem – powiedział Danzas, przyglądając wąsy. – Przyzwoity komplecik.

Puszkina odsunął obsługującego gości człowieka w białych rękawiczkach i pomógł koledze z liceum, będącego teraz jego sekundantem w zbliżającym się pojedynku, zdjąć płaszcz. Lewa

³⁶ Niedźwiedź – szkolne przezwisko Konstantina Karłowicza Danzasa, oficera, licealnego kolegi A.S. Puszkina, jego sekundanta w pojedynku z d'Anthèsem.

ręka podpułkownika spoczywała na temblaku, od czasu gdy został ranny w ramię pod murami Braiły nad Dunajem.

Weszli na piętro.

– Czym mogę cię ugościć, miły przyjacielu? – zapytał Puszkina.

– W ogóle to dziwne... – nie dosłyszał Danzas. – Dziwne jest używać w pojedynku cudzą, niesprawdzoną broń.

– Twoja to przedpotopowa – powiedział obojętnie Puszkina i powtórzył: – Cóż więc zamówimy, przyjacielu, w tej tawernie?

– Może się napijemy... Coś słodkiego.

– Sło-o-odkiego... – uśmiechnął się Puszkina. – Jak moja pięcioletnia Masza.

Zamówili po szklance soku z żurawiny.

– Cóż to było wcześniej? – wesoło odezwał się Puszkina. – Na szpady, co?!

– Oczywiście, że tak! W liceum byłeś pierwszym szermierzem, najlepszemu uczniemu Valville'a!

– Czasy się zmieniają... – Puszkina upił łyk napoju.

Był spokojny. Rankiem spotkał się z Danzasem, aby z wyprzedzeniem omówić wszystkie szczegóły nadchodzącego wydarzenia i przekazać pieniądze na pistolety pojedynkowe. Potem przez pół dnia pracował nad swoim „Sowriemennikiem” i udało mu się napisać list do jednego z autorów pisma.

Przed wyjściem z domu, niczym żołnierz przed walką, umył się i przebrał w świeżą odzież. Założył białą koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem, surdut, kazał kamerdynerowi podać bekieszę, wyszedł, ale wrócił i poprosił o szubę.

Do cukierni miał dwa kroki, nie było zbyt zimno, chociaż wzdłuż nabrzeża wiał porywisty wiatr. Kiedy zbliżał się do umówionego miejsca, pomyślał, że niepotrzebnie się wracał. A skoro się wrócił, to mógł mimo wszystko spojrzeć w lustro. Tak czy siak...

W cukierni panowała pustka. Dopiero na drugim końcu, w kącie za fikusem, siedziała głowa przy głowie jakaś para. Przyjaciele popijali swój sok, na brzegu stołu leżały europejskie i rosyjskie gazety, zaś pod nim, przy nogach Danzasa, spoczywały w pudełku pojedynkowe pistolety.

Puszkina postukał w szklaną paznokciem:

– Już dawno powinniśmy zamoczyć wąsy w szampanie, tymczasem delektujemy się soczkiem...

Danzas spojrział na jedną, potem na drugą rękę swego towarzysza i zapytał:

– A gdzie pierścionek z turkusem? Ten złoty, który Naszczokin zamówił dla ciebie jeszcze w maju, gdy odwiedziłeś go w Moskwie?

– Zostawiłem w domu – Puszkina odchylił się na krześle. – Przeszkadzały w strzelaniu.

– Podobno turkus chroni przed gwałtowną śmiercią!

– Wszystko to zabobony.

– I kto to mówi!

Danzas dobrze znał przesady i uprzedzenia swojego przyjaciela. Nawiasem mówiąc, niejednokrotnie ratowały go przed różnymi kłopotami i nieszczęściami. Weźmy chociażby historię z zającem, który przebiegł mu drogę z Michajłowskiego do Petersburga, do przyjaciół przygotowujących powstanie w grudniu 1825 roku. Dzięki szarakowi Puszkina zawrócił i pozostał w swojej spokojnej wiosce. W przeciwnym razie znalazłby się w samym centrum buntu na placu Senackim, a potem – albo na szubienicy, albo na Syberii. Tam uchodziłby za inspiratora, bowiem każdy dekabrysta miał w rękach jego „wolność”³⁷.

I jakże się przeraził, gdy na weselu w cerkwi Wniebowstąpienia Pańskiego w Moskwie najpierw uderzył w mównicę

³⁷ Chodzi o *Wolność*, wiersz napisany przez Puszkina w r. 1817, którego odpisy znaleziono w rzeczach uczestników powstania grudniowego 1825 r. (przyp. tłum.).

i upuścił krzyż, potem młodym zgasła świeca, a jakby tego było mało, podczas wymiany obrączek jedna z nich upadła z dzwonieniem i potoczyła się. „Wszystko to nie ku dobremu!” – wyszeptał, blednąc. A teraz zabobony, widzisz go!

Albo gdy przyjechała do Petersburga słynna wróżka frau Charlotte Kirchhoff, wysoka, blisko sześćdziesięcioletnia starszuszka, wyglądająca niczym z obrazów Rembrandta. W swoim czasie przepowiedziała Aleksandrowi I zwycięstwo w wojnie z Napoleonem. Tak więc Puszkina, usłyszawszy o tym, natychmiast udał się do niej z przyjaciółmi, aby poznać swoje przyszłe losy.

Razem było ich pięciu. Puszkina usiadł przy stole wróżki jako trzeci. Rozłożyła karty i wykrzyknęła: „Och, pan nie jest taki jak wszyscy inni... Niezwyczajny z pana człowiek!”. Jej słowa zadziwiły przyjaciół, ponieważ były prawdziwe.

Puszkina lubił wspominać to wydarzenie. Dochodziło do tego niejednokrotnie w obecności osób, które uczestniczyły we wróżeniu, gdyż przepowiednie frau Kirchhoff sprawdzały się jedna po drugiej. Na przykład powiedziała, że wkrótce otrzyma znaczną sumę pieniędzy. I tak się stało: od Korsakowa, kolegi z liceum, otrzymał przesyłkę z dawno zapomnianym karcianym długiem. To samo zdarzyło się z południowym i michajłowskim zesłaniem. I nie tylko. Wszystko spełniło się jak napisane.

Ostatnia przepowiednia mówiła, że w trzydziestym siódmym roku życia może umrzeć od białego konia lub białej głowy. Puszkina opowiadał o niej na pozór z rozbawieniem, ale, nawiasem mówiąc, od tego czasu z pewną obawą siadał na konia, jeśli był biały. A teraz, gdy wyłoniła się przed nim biała głowa kawalera gwardii, gdy zapachniało pojedynkiem, złowieszcza przepowiednia wróżbitki zdawała się ulecieć z jego świadomości, jakby całkiem zapomniał, że ma trzydzieści siedem lat i że d'Anthès to bez jakiegokolwiek wątpliwości blondyn.

Nie, oczywiście, doskonale to wszystko pamiętał i wiedział. Chociaż trudno uwierzyć, ale sam przybliżył ostateczną przepowiednię wróżki, czyli swoją śmierć.

Żona Puszkina była najpiękniejsza na carskich balach i żadna dama z otoczenia władcy nie mogła się z nią równać. Błyszczała jak primadonna na scenie i nic dziwnego, że Mikołaj miał szczególny stosunek do piękna. A d'Anthès... No cóż... Ten lalkowaty przystojniak?! Może był tylko zasłoną? Wszyscy jednak widzieli, jak adorował Natalię Nikołajewnę, co jej się podobało. Mało tego, nawet na oczach całego świata, w tym męża, zachęcała do zalotów młodego Francuza. Oczywiście, ze swoim przybranym ojcem, baronem Gekkernem, holenderskim dyplomata, d'Anthès zaszedł daleko. Był wszakże nie tylko mąciacielem duszy poety. Puszkina powiedział swojemu przyjacielowi Naszczokinowi: „Car Mikołaj, niczym oficer, zaleca się do mojej żony. Rano kilka razy przejeżdża obok jej okien, a wieczorem na balach pyta, dlaczego zawsze ma opuszczone zasłony”. I nie bez powodu Mikołaj I nadał słynnemu poecie dworski tytuł kamerjunkra, dosłownie – młodego pokojowego szlachcica. Toż Puszkina zbliżał się już do czterdziestki! Ubrany w obcisły mundur ze sztywnym, stojącym kołnierzem, musiał stawić się z żoną na cesarskie bale, gdzie ona czuła się gwiazdą na niebie, on natomiast więźniem. Trzy dni przed pojedynkiem Puszkina, w rozmowie z cesarzem o Natalii i towarzyskich plotkach wokół niej, powiedział: „Przyznaję szczerze, że podejrzewałem Waszę Wysokość o zalecanie się do mojej żony”. Można zrozumieć, dlaczego Puszkina szukał swojej zguby – nie mógł wyzwąć cara na pojedynek ani w żaden sposób przeciwstawić się mu za życia. „Jak tam twoje dzieci?”, zapytała baronowa Wrewskaja, z którą przed pojedynkiem Puszkina wielokrotnie długo rozmawiał i która była wzburzona słowami Puszkina o pragnieniu śmierci. „W porządku”, odpowiedział nerwowo poeta, „imperator obiecał o nie zadbać”.

Tymczasem Danzas, zapominając o napoju, dopytywał się:

– Ty! Ty, który bezwarunkowo wierzysz we wszelkiego rodzaju ochraniacze, amulety, talizmany, zostawiłeś turkus w domu?! A te wszystkie szmaragdy i karneole, tkwiące teraz na twoich palcach, nie będą przeszkadzać ci w strzelaniu?!

– To również talizmany – apatycznie odpowiedział Puszkina.

– Tak więc talizman Lizy Woroncovej z niezrozumiałymi literami, подарowany ci przy okazji, gdy miała dwa takie, jest silniejszy niż talizman naszego przyjaciela Naszczokina? A przecież zamówił go specjalnie dla ciebie. I cierpliwie czekałeś w Moskwie, aż będzie gotowy, a potem traktowałeś go nader poważnie i wierzyłeś w jego cudowną moc.

– Chodźmy, proszę – przerwał Puszkina. – Już czas.

Wstali, pozostawiając nieomal pełne szklanki. Jeden był zirytowany, drugi odetchnął: nieprzyjemna rozmowa dobiegła końca.

Dzień, pomimo wiatru, był pogodny. Sanie zawiozły przyjaciół na most Troicki i zdarzyło się akurat, że na Pałacowym Nabrzeżu Danzas w nadjeżdżającym powozie rozpoznał Natalię Nikołajewnę, która wracała z przejażdżki po górkach. Czyżby sam los pędził na spotkanie, aby zapobiec bezsensownemu pojedynkowi? Niestety. Drżąca nadzieja przeleciała obok równie szybko, jak nieoczekiwanie pojawiła się sekundę wcześniej.

Wyższe sfery po saneczkowaniu pojawiły się licznie na Nabrzeżu. Danzas specjalnie wybrał tę zatłoczoną drogę. Miał nadzieję, że ktoś ich powstrzyma, zapobiegnie pojedynkowi. Wiedziało o nim wszakże całe miasto, łącznie z carem, ale wielu znajomych pozdrawiało ich wesoło i szło dalej. Nie było widać żandarmów, którzy, zdarzało się, na rozkaz z góry nie dopuszczali do śmiertelnego pojedynku.

Ostatnią ze spotkanych znajomych była młoda hrabina Aleksandra Woroncowa-Daszkowa. Zawsze wesoła i ożywiona, gdy zo-

baczyła Puszkina z Danzasem, nagle zmieniła się na twarzy, zdjęła rękawiczkę i wyciągnęła ku nim drżącą rękę, jakby chciała ich powstrzymać. Szybkie sanie minęły się jednak w mgnieniu oka.

Nad Nową Puszkina podniósł kołnierz swojej szuby. Jego zmrużone na wietrze oczy pociemniały. Na środku mostu zapytał żartobliwie:

– Czyżbyś wiozł mnie do twierdzy, licealny mędrco?³⁸

– Nie – odpowiedział Danzas – przez twierdzę nad Czarną Rzekę. Tak krócej.

Nastrój Puszkina był wyciszony, a nawet, można by rzec, pogodny, i nie poprzestał na jednym żarcie:

– D’Anthès, Danzas... Jesteście obaj tacy jednobrzmiący! Choćby nazwiskami... I obaj jesteście Francuzami.

– Francuz Francuzowi nierówny – stwierdził oszczędnie sekundant.

Na miejsce przybyli o wpół do piątej, niemal równocześnie z przeciwnikami. Wzmógł się wiatr, więc ukryli się przed nim w sosnowym zagajniku. Śnieg sięgał tam po kolana albo nawet wyżej.

Sekundanci, Danzas i d’Archiac, wydeptali szlak na arszyn szeroki, oznaczając bariery – nieprzekraczalne krańce podejść – swoimi szynelami. Między nimi było dziesięć kroków.

Puszkina, owinięty w szubę, siedział na zaspie i obojętnie obserwował otoczenie. Danzas zapytał go, jak ocenia miejsce pojedynku, na co odpowiedział:

– Mnie naprawdę jest wszystko jedno, tylko, proszę, róbcie to szybciej.

Wreszcie pistolety zostały naładowane, przeciwnicy stanęli na swoich miejscach. Danzas dał uzgodniony sygnał: machnął swoim kapeluszem...

³⁸ Podczas nauki w liceum Danzas (wraz z Antonem A. Delwigiem) wydawał rękopiśmienne czasopismo „Licealny Mędrzec”. Pisał własne teksty i przepisywał cudze swoim kaligraficznym pismem, co spowodowało, że w czasopiśmie odnotowano „Wydrukowano w drukarni Danzasa”.

Puszkina jako pierwszy zbliżył się do bariery, stanął i zaczął celować. Ale d'Anthès strzelił w marszu³⁹, nie dochodząc do wyznaczonego miejsca. Jak prawdziwy pojedyńkowiec, zgodnie ze wszystkimi zasadami – na podpierającej lewej nodze i wysuniętej prawej, jak szermierz podczas wypadu, tylko w zwolnionym tempie.

Puszkina wypuścił z dłoni pistolet i upadł twarzą na leżący na śniegu szynel. Kula d'Anthèsa weszła w prawą część brzucha i strzaskała kość krzyżową. Kiedy rzucili ku niemu, także d'Anthès postąpił krok naprzód, Puszkina uniósł się nieco i zwrócił w stronę przeciwnika po francusku:

– Poczekajcie! Czuję się wystarczająco silny, aby oddać strzał.

Danzas podał mu kolejny pistolet, gdyż lufa pierwszego była zapchana śniegiem. Przeciwnik stał bokiem. Jego pierś zakrywała ręka, trzymająca skierowany ku górze pistolet.

Póллеżąc, wsparty na lewej ręce, Puszkina wycelował i strzelił. Był dobrym strzelcem. Kiedyś w Kiszyniowie wypisywał rozmaite ornamenty na suficie, strzelając z łożka okruszkami chleba.

D'Anthès drgnął i upadł plecami w śnieg.

Puszkina wykrzyknął:

– Brawo!

I znowu, nieprzytomny, opuścił głowę na szynel.

Jednak d'Anthès żył – kula przeszła przez jego ramię i trafiła w miedziany guzik na piersi, uszkadzając dwa żebra. Uderzenie było tak silne, że nie zdołał utrzymać się na nogach.

Odyskując świadomość, Puszkina zapytał:

– Zabiłem go? – i usłyszał w odpowiedzi: – Tylko zraniony.

– Dziwne – rzekł Puszkina. – Zresztą wszystko jedno. Jak tylko poczujemy się lepiej, zaczniemy od nowa.

Tymczasem krew z rany zalewała śnieg. Jak Danzas dowiózł rannego Puszkina do domu, Bóg jeden wie! Początkowo

³⁹ Warunki pojedynku nie zakazywały strzału w marszu.

z pomocą d'Archiaca wyniósł przyjaciela na drogę i wspólnymi siłami usadowili w saniach. Woźnica prowadził konia stępem, sekundanci podążali tuż za nim pieszo. Potem, gdy przebyli półtora wiorsty śnieżnych zasp i wybojów, przenieśli Puszkina do powozu, wysłanego przez Gekkerna seniora, nie wspominając, czyj był. Ranny Gekkern junior jechał swoimi saniami w pewnej odległości za nimi.

Przez całą drogę Danzas przyciskał Aleksandra do siebie, próbując jakoś złagodzić wstrząsy podczas jazdy. Puszkini nie tracił już przytomności. Zaczął nawet wspominać swoje poprzednie pojedynki. A gdy dojechali do domu, wysłał Danzasa naprzód, aby uprzedzić żonę, że jest po prostu lekko ranny. Kogo jednak chciał tym oszukać...

Nikita Kozłow, wierny wychowawca Puszkina z jego młodych lat, od pewnego czasu kamerdyner, zaniósł zakrwawionego gospodarza do gabinetu. Po drodze Puszkini zapytał:

- Ciężko ci nieść mnie? Przecież nie jestem już malcem...
- Nie, dobrodzieju, nie ciężko – odpowiedział Nikita.

Jeszcze w przedpokoju spotkała ich Natalia Nikołajewna ze swoją siostrą Aleksandrą. Biedna Natalie, gdy tylko zobaczyła swojego zakrwawionego męża w ramionach Nikity, natychmiast straciła zmysły. Zabrała ją milcząca, pobladła nagle jak śnieg, siostra.

Danzas pomógł Nikicie Timofiejewiczowi położyć Puszkina na kanapie i pobiegł po doktora Arendta, z której usług korzystała rodzina. Nie zastał Nikołaja Fiodorowicza w domu, wezwał więc innych lekarzy. Gdy wrócił, Aleksander Siergiejewicz był już przebrany w czystą bieliznę, i Danzas nie opuścił go do końca.

Bardzo szybko dom na Mojce zapełnił się przyjaciółmi poety – przyszli Żukowski, Wiaziemski, Turgieniew, Dal... Całą dobę lekarze i przyjaciele spędzili przy łóżku Puszkina, zmieniając się wzajemnie, próbując złagodzić cierpienie umierającego.

W którymś momencie w nocy, z powodu nieznośnego bólu, Puszkina postanowił się zastrzelić. Jakim sposobem pudełko z parą pojedynkowych pistoletów znalazło się pod kołdrą cierpiącego? Na szczęście Danzas w porę dowiedział się o sytuacji i broń zabrał.

Lekarzom przewodził Nikołaj Fiodorowicz Arendt, którego obowiązkiem było udanie się z raportem do Mikołaja I. Przed wyjazdem Puszkina zwrócił się do niego, aby przekazał carowi prośbę o nieściganie jego sekundanta.

– Proście o Danzasa, o Danzasa, on jest dla mnie jak brat!

Wychodząc z domu, Arendt powiedział odprowadzającemu go Danzasowi:

– Sytuacja bardzo zła, on umrze.

Leżący w gabinecie Puszkina w dalszym ciągu przechodził straszliwe katusze. Momentami nie był w stanie się powstrzymać i wtedy jego jęki roznosiły się po całym domu. Kiedy cierpienie nieco ustępowało, wzywał do siebie to żonę z siostrą Aleksandrą oraz dziećmi, to któregoś z przyjaciół. Zawołał również Danzasa. Poprosił go, aby wziął piór oraz papier, i spisał pod dyktando wszystkie swoje długi, na które nie było ani weksli, ani listów pożyczkowych.

– Masz piękne pismo, wszystko zrozumieją...

Danzas usiadł przy nocnym biurku w gabinecie i zaczął pisać. Ze wzruszenia łamały mu się pióra, brał więc nowe i zaczynał od początku, starając się wrócić do liter licealnej kaligrafii

– Dokładnie... – szepnął Puszkina, nie czytając, a tylko spojrzawszy na gotowy tekst. Po ciężkiej pracy związanej z podpisaniem dokumentu, Puszkina kazał podać sobie szkatułkę z szuflady sekretary. Danzas spełnił jego życzenie i umieścił ją, zgodnie z poleceniem, na piersi rannego. Puszkina podniósł wieko, wyjął złoty pierścień z turkusem:

– Oto i on, drogocenny! A ty się martwiłeś...

Danzas milczał.

– Weź... Turkus chroni przed zamachami na życie.

– Dziękuję, Aleksandrze Siergiejewiczu – odpowiedział Danzas. – Już go nie zdejmę.

Pozostał przy łożu śmierci przyjaciela do ostatniej jego chwili.

Kominkowy zegar w gabinecie Puszkina został zatrzymany przez Żukowskiego o godzinie 14.45 minut 29 stycznia 1837 roku.

Sąd wojskowy skazał podpułkownika Danzasa na śmierć przez powieszenie. Zarzucono mu, że nie poinformował zawnazwu władzy o zbliżającym się złym zamiarze i tym samym dopuścił do pojedynku i zabójstwa. Ale wtedy trzeba było powiesić też d'Anthèsa (D'Archiac zdążył wyjechać do Francji). Wyższa instancja obniżyła wymiar kary – postanowiono odebrać Konstantynowi Karłowiczowi złotą pólzszablę, przyznaną mu za męstwo, i zdegradować do stopnia szeregowego. Następnie wyrok został złagodzony na dwa miesiące odosobnienia w Twierdzy Pietropawłowskiej.

Imperator okazał miłosierdzie: nie kazał aresztować Danzasa natychmiast po pojedynku i pozwolił mu pozostać u boku umierającego przyjaciela. Jednak na prośbę Natalii Nikołajewnej, aby Danzas odprowadził ciało zmarłego do miejsca pochówku w klasztorze w Światogorsku bez niej, jako że ciężko się rozchorowała, odmówił. Zaszczyt ten przypadł Aleksandrowi Turgieniewowi.

Po zwolnieniu z twierdzy Danzas służył w Petersburgu, ale niebawem, po kłótni z przełożonymi, na własną prośbę w stopniu podpułkownika został skierowany na kaukaski teatr działań wojennych. Tam był przykładem odwagi i opanowania. W jego batalionie służył Michaił Jurjewicz Lermontow. Generał Rajewski w rozkazach pochwalnych zwrócił szczególnie uwagę na odwagę Danzasa, który wkrótce został pułkownikiem. W tym

stopniu pozostał aż do emerytury, co dało mu nowe przezwisko: „wieczny pułkownik”.

Pojedynek i śmierć Puszkina były trwałym wstrząsem dla Konstantina Karłowicza. Wyrzucał sobie, że nie zdołał przeszkodzić w pojedynku, chociaż doskonale wiedział, że najmniejszym staraniem o pojednanie przeciwników obraziłby przyjaciela. Co więcej, bez względu na to, kogo Danzas spotkał, wszyscy zaczęli pytać o nieszczęsny pojedynek i ostatnie dni poety. Z pogodnego, beztroskiego Francuza i kpiarza, z czego Danzas znany był w liceum, a nawet później, stał się osobą zamkniętą, ponurą. Konstantin Karłowicz próbował zatracić się w bezustannych kampaniach wojennych i bitwach. Podobno szukał nawet śmierci, co być może stanowiło powód jego czasami lekkomyślnej odwagi. Ale w imię sprawiedliwości należy zauważyć, że nieustraszonosc i ściśle przestrzeganie honorowych zasad wyróżniały Danzasa od czasów liceum. I nie przeminęło z czasem.

Jednak jego zjadliwa bezpośredniość i obojętność na sprawy doczesne doprowadziły go do ubóstwa i samotności. Nigdy nie założył rodziny. Zabiegał o wdowę po Pawle Naszczokinie, ale jakoś nie wyszło. Zmarł Konstantin Karłowicz w służbowym mieszkaniu na rękach swojej siostrzenicy.

Generalskie naramienniki otrzymał dopiero przy przejściu na emeryturę. I zgubił swój turkusowy pierścień – upuścił go jakoś zimą podczas kampanii wojennej, gdy zdejmował rękawiczkę. Po Puszkinie została mu tylko pamiętna notatka, w której poeta prosił o pomoc w sprawie honoru, a która okazała się jedyną wartościową rzeczą, odziedziczoną przez siostrzenicę po ukochanym wujku.

Styczeń 2021 r.

MODI, ANNA I INNI

*O takiej porze
na ulicach są tylko poeci i złodzieje.*

W. Majakowski, *Dobrze*

Na zegarku druga pięćdziesiąt. No i nie ma rady, tak czy siak muszę wstać. Za oknem gęsta ciemność. Obojętnie jakbym się układał, nie sposób zasnąć... A nastrój – gorszy niż kiedykolwiek. Czy może być taki w środku nocy? Jasne, tak właśnie się dzieje, gdy przez całe dni poprawia się cudze teksty. I nie tyle co poprawia, ale bezmyślnie zamienia dywizy na myślniki, dopisuje przecinki i stawia kropki nad i: wszystko zgodnie z wymogami redakcyjnych kanonów. Prowadzę dział kultury w miejskim czasopiśmie. Zalewa mnie niekończący się strumień grafomanii i niedorzecznych artykułów, w którym śmieci tyle, że można je zgarniać szuflą. Czytanie tego jako osoba postronna, oznacza brak ratunku dla duszy. Tępiję z dnia na dzień, żadnego rozbłysku w głowie. Jeśli zostało we mnie jakiegokolwiek światło, to rezerwa młodości z zamierzchłych czasów, bagaż, który się nie zmniejsza, ale też nie uzupełnia. Nic, tylko zwariować! Kiedyś musiało to przekroczyć masę krytyczną i eksplodować. No i walnęło w środku nocy.

Nie mogę już dłużej leżeć. Ubieram się – lekka kurteczka, szalik w kratkę – żeby tylko zakryć gołą szyję nad koszulką. Taka to ciekawa pora: ani chłodno, ani gorąco – niby wiosna, śniegu na szczęście nie ma, jednak zieleni także nie widać. W porządku, przewietrzę się, może ochłonę i wrócę do siebie, spokojny, znowu cierpliwy...

Na ulicy ani żywego ducha. Wieżowce całkiem jak wymarłe, wszędzie ciemno w oknach. Tylko latarnie na słupach rozsiewają wokół siebie beznamiętne, ale ciepłe, żółte światło. Gdzieś tam gdzie przeblęski reklam mrugają nie wiadomo do kogo. Pewnie do mnie, samotnego i wzburzonego. Dwie przecznice dalej opieram się o świątecznie rozświetlone szkło pod szyldem „Bar”. Bar po tatarsku oznacza coś do jedzenia. Czy jest w tym barze Bar? To znaczy – co oni tam mają? Jakies inne, jasne życie?

Za barową ladą stoi ciemnowłosa piękność o porzeczkowych oczach, obmywanych nieziemskimi deszczami. Zastanawiam się, jakim cudem mąż pozwala jej wychodzić gdzieś po nocy. Uśmiecha się i pyta: „Co pan sobie życzy?”. Zamawiam setkę, sok, jakąś lekką przekąskę.

Gości jest niewiele. Rozmawiają, śmieją się. Wesoło ludziom po północy. Żadnych zmartwień, żadnych problemów, żadnego ponurego poranka za kilka godzin. Naraz patrzę, a tu jakimś sposobem obok stołu pojawił się mężczyzna w średnim wieku, nawet przyjemnie wyglądający, ale bez pieniędzy. Na imię ma Siergiej, jest ochrzczonym Tatarem z rejonu alkiejewskiego. Zapraszam go na przekąskę, co tam będę żałował! Zjedliśmy i postanowiliśmy wyjść zapalić. Chciałem kupić papierosy, gdy zaproponował machorkę, którą specjalnie dla niego hoduje i przygotowuje jego mama w rodzinnej wiosce. Zręcznie zrobił dwa skręty. Zaciągnąłem się. Alkiejewski tytoń wydał mi się bardziej aromatyczny niż jakiegokolwiek zagraniczne papierosy. Podobało mu się, że doceniłem jego fajki. Odsypał nieco machorki w torebkę, dołożył kilka bibulek do skręcania i mówiąc: „To prezent dla ciebie, dobra duszo”, wyszedł. Rano musiał być na budowie, gdzie pracował jako układacz płytek. Jakież to trzeba mieć końskie zdrowie, aby po całonocnej zabawie o świecie lecieć do roboty?!

Pięć minut później, gdy rozmyślałem o moim nowym znajomym, wzruszony jego otwartością i życzliwością, podszedł

do mnie młody mężczyzna z papierosem w ustach i poprosił o ogień. Zwróciłem uwagę na jego dziwne ubranie: miał na sobie ni to kurtkę, ni to bluzę z beżowego aksamitu, z dużymi, naszywanymi kieszeniami, z których wystawały ołówki, i niedbale związany pasiasty szalik... Zaskoczyły mnie zwłaszcza jego słowa: *Pardon, monsieur!* Przyjrzałem mu się bliżej i już wiedziałem:

– *Bonjour, monsieur Modi!*

Mogło wprawdzie wydawać się to dziwne, ale w nocnej knajpce stał przede mną sam Amedeo Modigliani, lekko pochyłony – gotowy zapalić papierosa. Przedstawiłem się i sięgnąłem po machorkę, którą dopiero co obdarował mnie Siergiej:

– Może spróbuje pan, jak smakuje nasz tytoń?

Modi uniósł brew, uśmiechnął się i przyjął zaproszenie. Usiadł obok, bardzo zręcznie skręcił papierosa i przypalił sobie z mojej zapalniczki. Zaciągnął się z zadowoleniem.

Barmanka nie zwróciła nam uwagi. Przeciwnie, nawet się uśmiechnęła, jakby zapraszając do zamówienia czegoś do jedzenia. Zaproponowałem, aby odpowiednio uczcić nową znajomość i wymieniłem kilka naszych tradycyjnych trunków. On jednak potrząsnął przecząco głową, wypowiadając tylko jedno słowo:

– Absynt.

Za plecami barmanki zauważyłem kalendarz z dużymi cyframi: 1910. Dopiero teraz zwróciłem uwagę na solidne dębowe podłogi lokalu, czerwone tapicerowane krzesła, karmazynowe abazury, wiśniowe ściany z obrazami francuskich impresjonistów, dziwnie ubranych gości, jakby teatralną kawiarnię odwiedzili prosto po spektaklu aktorzy, nie zdejmując z siebie scenicznych kostiumów z początku ubiegłego wieku.

Wziąłem dwie szklanki z jadownicę zieloną ciecżą, ale stojący za mną Modi rzekł: – Potrzebne są trzy – i wskazał na stolik w rogu baru, gdzie *mademoiselle* w kapeluszu z szerokim rondem czekała na swojego kawalera. Nie, dokładniej mówiąc, nie

mademoiselle, ale *madame*, jeśli zna się historię literatury. Rozpoznałem ją w połowie drogi do stołu.

– Dobry wieczór, Anno Andriejewna – ukloniłem się i postawiłem na stół szklanki.

– Skąd ty wszystkich znasz? – zdziwił się Modi.

– Jakżebym mógł was nie znać! – westchnąłem tylko w odpowiedzi.

– Proszę mówić do mnie po prostu Anno – powiedziała. – Jestem jeszcze zbyt młoda, aby używać imienia ojcowskiego – i dodała: – Tutaj podają kelnerzy, nie trzeba było zajmować się szklankami.

Odwróciła się do Modiego:

– Amadej... – tak Achmatowa, na swój sposób, nazywała artystę – przysunął gościowi krzesło.

Wypiliśmy po łyku. Cóż... Piołun pozostaje piołunem. Z jakiego powodu wychwała się ten gorzki płyn – bo absynt to absynt?! Żadnemu innemu napitkowi nie poświęcono tak wiele obrazów. Podstępna Zielona Wróżka króluje na płótnach Edouarda Maneta, Vincenta van Gogha, Edgara Degasa, Picassa, Toulouse-Lautreca...

Ten łyk – a jakże – rozlał się Modiglianemu po duszy. Poprawił szalik i wyrecytował:

*O absyncie, kłaniam ci się nisko!
Kiedy cię piję, to wydaje mi się,
że wdycham duszę młodego lasu
podczas pięknej zielonej wiosny!*

Skorzystałem, że na moment zamilkł, i poprosiłem Annę, aby powiedziała coś swojego.

– Czytałem wiele pani utworów, ale chciałbym usłyszeć coś na żywo.

Nie pozwoliła się prosić, spojrzała tylko przelotnie na swojego Amadeja:

*Było duszno od gorejącego światła,
A spojrzenia jego niczym promienie.
I tylko zadrżałam: jedynie ten
Zdolnym byłby mnie oswoić.*

*Pochyliłam się – zaraz coś powie...
Z twarzy krew wszystka odpłynęła.
Obyż kamieniem nagrobnym
na życiu mym miłość zaciążyła.*

Modi słuchał, a na jego twarz pojawił się na wpół uprzejmy, na wpół leniwy uśmiech. Kiedy Anna skończyła, powiedział do mnie ledwo słyszalnie:

- Nie rozumiem jej wierszy, nie czuję ich.
- Czy ona rozumie pańskie obrazy?
- Co tu jest do rozumienia! Moje prace są proste i nieskomplikowane.

– Nie są podobne do żadnych innych – odparłem. – Stworzył pan swój własny, niepowtarzalny świat.

I dodałem po chwili wahania:

– Jednak jest on jakiś niekompletny. Nie ma ani żadnych scen rodzajowych, ani pejzaży, ani choćby martwych natur...

- Kilka pejzaży się znajdzie, parę martwych natur także...

Na to odezwała się Anna:

– Amadejek zamyka cały świat w ludzkich twarzach i portretach.

Przez moment zacząłem się zastanawiać, w jakim właściwie języku rozmawiamy? Ale wtedy przyszło mi na myśl coś innego:

– Powiedz, Modi, dlaczego wszystkie twoje postaci mają puste oczy? – nie zauważyłem nawet, że przeszedłem na ty.

- Wcale nie wszystkie – wykrzywił mokre od absyntu usta.

Znowu zabrała głos Anna:

– One nie są puste, po same brzegi wypełnia je smutek i samotność.

Dotknęła kapelusza dwoma palcami jak trzcinki, zwieńczonymi purpurowymi piórkami paznokci, i jakimś wężowym ruchem, całym ciałem, poprawiła się na krześle. W tym krótkim ruchu zawarł się wręcz niebiański wdzięk, który potwierdzał słuszność niezliczonych opinii o niej, wyrażanych przez stulecie. Nie bez powodu zagraniczni i krajowi artyści bili się o możliwość namalowania jej portretu z profilu i *en face*, całej postaci i... Nagością został wszakże zaszczycony tylko jeden. Tak, Modigliani.

Spojrzała na swojego przyjaciela. Czy to dzięki jej słowom, czy też pod wpływem absyntu, na wpół czuły i na wpół leniwy uśmiech Modiego zamienił się w szczęśliwy. Anna przesunęła dłonią po jego policzku:

– Wesoło mi z tobą pijanym...

Słowa te przemieniły się potem w pierwszą linijkę wiersza, a za nimi pojawiły się obrazy paryskich powiazań i zapewnień:

*Chcieliśmy udręki męczącej
Zamiast szczęścia niezmqconego...
Nie zostawię ot tak przyjaciela
Równie rozwiązłego, co delikatnego.*

Zamówiliśmy czarną kawę i jeszcze więcej absyntu, recytowaliśmy z pamięć Baudelaire'a, Verlaine'a... Modi sypał fragmentami z *Boskiej komedii* swojego ukochanego rodaka, Dantego. Słuchałem, a sala, która początkowo wydawała mi się maleńką knajpką, rozszerzyła się i wyciągnęła w górę. Nad głowami gości zaczęły unosić się zielonkawę opary. Wtedy też zabrałem głos, zerkając pod kapelusz Anny i przypominając sobie Błoka:

*I dziwną bliskością przykuty,
Patrzę za ciemny woal
I widzę brzeg zaczarowany
I zaczarowaną dal.*

Anna zgodnie pokiwała głową, uśmiechnąwszy się, jakby coś sobie przypominając, a może po prostu z grzeczności. Chwilę milczała, westchnęła, i:

*Żyję jak kukulka w zegarze,
Nie zazdroszczę ptakom w lesie.
Każą – to kukam.
Wiesz, takiego losu
Tylko wrogowi
Życzyć mogę.*

Potem napiła się kawy i stwierdziła, że musi iść do toalety.

Wiersz o zegarowej kukulce przypomniał mi o... Opróżniłem szklanekę do połowy i zapytałem:

– A gdzież to Mikołaj?

Wiadomo było przecież, że znajdowała się w Paryżu w ślubnej podróży z nieznanym jeszcze wówczas poetą, byłym oficerem i podróżnikiem Mikołajem Gumilowem.

– Jest w Akademii Nauk, prowadzi negocjacje w sprawie wyprawy do Afryki.

– W jakiej akademii? Przecież noc...

– Dokładnie... – wzruszył ramionami Modi i spojrzawszy w pustą szklanekę, szepnął: – I dlaczego ona za niego wyszła? Przecież go nie kocha... Cóż, pożałowała... Chciałem się zastrzelić...

– Zastrzelić...?

Wtem do stołu podszedł jakiś głowacz ze sporym nosem. Uścisnęli się z Modim po bratersku.

– To mój wierny przyjaciel, Maks Jacob – Modi poklepał dandysa w eleganckim surducie, z niebieskim krawatem i śnieżnobiałym kołnierzykiem, po ramieniu. – Poeta-futurysta, chiromanta, astrolog... Dla niego wejść w ogień i wodę.

– Rzeczywiście, pamiętam pańskie portrety jego pędzla – skinąłem głową kolejnemu znajomemu.

Faktycznie, któż ich przecież nie widział! Tylko, że tego eleganta nie sposób na nich rozpoznać. Prawdę powiedziawszy, prace Modiego nigdy nie odznaczały się portretowym podobieństwem.

– Pamiętam, pamiętam – powtórzyłem. – Zaocznie, Maks, to już od dawna się znamy.

Jakimś sposobem, sam nie wiem, oddaliliśmy się od naszego stolika i przy kontuarze, gdzie poczęstowałem go whisky, mamrotał mi gorąco do ucha o pijaku i narkomanie, cyganie bez centyma w kieszeni, o narcyzie i nieudaczniku Modiglianin.

– Ale jest wspaniałym malarzem! Fascynuje mnie od młodości – sprzeciwiłem się. – Przecież ziemską grzeszność nie wyklucza sztuki artysty.

– Rzemiosło, nawet jeśli wydaje się wysokim, nie usprawiedliwia niemoralności – Maks dyszał mi w twarz.

– Jednak rzemiosło i sztuka to dwie różne rzeczy.

– Widzę, że masz duszę na oścież otwartą... Znalazłeś się pod wpływem rozmaitych czyścicieli mózgów i tandetnych pochlebców.

Opuścił dłoń na moje ramię: – Powiem ci tylko jedno: bądź z nim ostrożny... Przecież nawet słowo „modi” oznacza „przeklęty”.

*

Oto przyjęcie bohemy w Paryżu – żadnego jedzenia, jedynie alkohol. Kiedy podszedłem do naszego stolika, Modi z Anną miło gruchali o wszystkim przy tych samych szklankach i filiżankach kawy.

– Gdzieżeś to przepadł? – zapytał Amadeo.

– Rozmawiałem z twoim wiernym druhem.

– Och, czas do domu – powiedziała Anna.

– Weźmiemy na drogę butelczynę winka – zwrócił się do mnie Modi.

Wciąż był to Paryż, o czym przekonałem się, gdy zobaczyłem nazwę kawiarni na skórzanej okładce menu. Gdy wychodziliśmy z purpurowego lokalu, podniosłem głowę i przeczytałem jasną nazwę nad drzwiami – *La Rotonde* – oraz adres z boku za występem: *Boulevard du Montparnasse, 105*.

„Sławna Rotunda na bulwarze Montparnasse – pomyślałem sobie. – Nie wierzę!”. Jednak wspierający się na mnie Modi nie pozostawiał miejsca na wątpliwości.

– Założyłam na prawą rękę rękawiczkę z lewej – zaśmiała się Anna.

– A ja położę się pod latarnią i zasnę – nie odstępował jej Modi.

– Wystarczy żartów – odezwałem się na to. – W którą stronę ruszamy?

– Na Bonapartego – odpowiedziała Anna. – Drugie piętro.

– Na Montparnasse 19 – sprzeciwił się Modi i rzucił przekonująco: – Niedaleko, na tym samym bulwarze.

– A moja chata jeszcze bliżej – stwierdziłem – Dwie przecznice stąd, aleja Sierowa 41, trzecia brama, drugie piętro.

– Sierow... *Dziewczyna z brzoskwiniami*, tak?

– Dokładnie tak, Amadeju – odpowiedziałem – Mieszkam na ulicy nazwanej imieniem wspaniałego malarza.

Noc się nie poddawała. Atramentowy koc nadal okrywał miasto rozświetlone światłami. Modi zdecydował się zapalić mój tytoń na świeżym powietrzu. Anna szeptała w przestrzeń bulwaru:

*Niebieski wieczór. Ucichły potulnie wiatry,
Jasne światło do domu mnie wzywa.
Pytam: kto tam? Czy to nie narzeczony,
Czy to nie narzeczony nadszedł mój?*

Nie, nie był to narzeczony, ale świeżo upieczony mąż. Kiedy Modi zapalał papierosa, zapuszczaly hamulce samochodu i wy-

rósł przed nami – w całej swojej potężnej postaci, w cylindrze, dopasowanym czarnym płaszczu, z laską – Mikołaj Gumilow. Zawsze wyobrażałem go sobie w czapce z małą owalną kokardą, w bluzie z oficerskimi naramiennikami oraz krzyżem św. Jerzego na piersi, takim jednak stał się dopiero później. Tutaj natomiast był nowożeniec w cywilnym ubraniu jak spod igły!

Wziął żonę pod ramię i skierowawszy wzrok na Modiego, wycedził przez zęby:

– A ten pijany dziwoląg tutaj!

Nie zdążyliśmy się nawet opamiętać, gdy Anny już z nami nie było.

– Matko Boża, jakże to tak?! – wymamrotał tylko zbity z tropu artysta, patrząc na odjeżdżające auto.

Przybici, ruszyliśmy nie wiadomo gdzie.

Okazało się, że do mnie.

Pierwszą rzeczą, jaką Modi zauważył w moim jednopokojowym legowisku, była czysta kartka papieru Whatmana⁴⁰ na stoliku do kawy.

– A to co?

– Nie widzisz?

– Można?

– Proszę.

Posadził mnie na krześle naprzeciwko siebie, wyjął z kieszeni węgiel do rysowania, jednym spojrzeniem zmierzył obiekt... Przed minutą był na wpół martwym człowiekiem, który nagle ożył. Oczy mu błyszczały, dłoń przejechała po papierze Whatmana... Wiele razy czytałem, że z każdej trudnej sytuacji wychodził dzięki pracy na papierze, płótnie, bryle do rzeźbienia... Dobrze pisali.

Mój portret był już gotowy. Na nim – ja do pasa, z oczami pełnymi smutku i samotności, w koszulce z krótkimi rękawami

⁴⁰ Specjalny gatunek papieru opracowany przez Jamesa Whatmana (przyp. tłum.).

i lekkim szaliku w kratkę na szyi. Podobny – niepodobny? Znacnie przecież styl słynnego malarza!

Modi wziął portret, odrzucił głowę do tyłu, ocenił dzieło z odległości wyciągniętych rąk i przypiął obok ściennego zegara.

Potem piliśmy czerwone wino z Rotundy, paliliśmy machorkę na balkonie, oglądaliśmy albumy znanych światowych malarzy, wśród których był oczywiście Amadeo Clemento Modigliani.

*

Obudziłem się dopiero w południe. Długo wpatrywałem się w okno, za którym po błękitnym niebie podążały gdzieś białe, kłębiaste obłoki. Nagle jakby poraził mnie prąd... Cóż to było?! Rozejrzałem się – wszystko sprawiało wrażenie, że jest w porządku, bez zmian, zegar miarowo tykał na ścianie... Która to godzina? Spojrzałem... Obok zegara, przypięta do tapety szpilka, kartka papieru Whatmana z portretem młodego mężczyzny w koszulce i kraciastym szaliku na szyi. Szczerze mówiąc, nie był do mnie podobny – jakaś pokraka. Wiedziałem jednak, że to ja.

Nie będę opisywał mojego stanu bliskiego szaleństwa. Ale do rzeczy. Kiedy ktoś mi długo coś opowiada, pytam z niecierpliwością: co w końcu? W końcu zadzwoniłem do przyjaciela jeszcze ze szkolnej ławy – Borysa Klinkina – wtedy znakomitego ucznia, wzoru dla całej klasy, teraz profesora, znawcy i krytyka sztuki. Był na miejscu, czyli u siebie w domu. Wziąłem zatem „arcydzieło” pod pachę i pogałem do niego.

Borys przywitał mnie jak zawsze ciepło. zaproponował piwo, a sam długo przypatrywał się obrazkowi. Oczywiście nie odmówiłem – wszystkie te przeżycia spowodowały, że od rana nie miałem w ustach nawet makowej kropli rosy⁴¹. Gdy tak się

⁴¹ Tzn. nie jadł i nie pił: idiom wywodzący się z rosyjskiego języka literackiego. Użyty m.in. w powieści Iwana Gonczarowa *Zwyczajna historia*, Borysa Akunina *Azazel* i wielu innych (przyp. tłum.).

nawadniałem, rozglądając po przestronnym gabinecie, specjalista przesuwiał lupę wzdłuż i w poprzek rysunku, prawie dotykając nosem mojej twarzy i szalika pod nią.

Chatę miał naturalnie jak się patrzy! Na ścianach oryginały w ramach, na stojakach misterne naczynia o cienkich szyjkach, regały zastawione popiersiami i dzikimi maskami... Tylko wielka walizka w rogu gabinetu wprowadzała pewną dysharmonię. Zapytałem, czy zdoła ją podnieść. Odpowiedział, że jest na kółkach.

Wreszcie profesor (lubiłem go tak nazywać, w końcu on jedyny z całej naszej klasy został naukowcem) oderwał się od badanego obiektu:

– Słuchaj, mój drogi, zostaw mi na razie ten obrazek. Przeprowadzę pełną analizę, aby wszystko było już jasne, no i z kimś się skonsultuję.

– A co, interesuje cię?

– To nie jest jeszcze do końca jasne. Papier Whatmana wydaje się być nasz, ale węgiel i technika wykonania... – nie dopowiedział, tylko podrapał się po karku.

– Nie – powiedziałem. – Papier, mimo swojej bieli, nie jest nasz, pochodzi z teczki mojego pradziadka, według tabeli stopni urzędowych – radcy kolegiального.

– No i dlatego mówię, że musimy wszystko dokładnie sprawdzić, jeśli oczywiście tego chcesz.

Gdybym nie chciał, to nie taszczyłbym się do niego po burzliwej nocy. Co tu myśleć – zgodziłem się:

– W porządku.

– Zadzwoń dokładnie za tydzień – określił termin ekspertyzy.

Po tygodniu okazało się, że Borys wyjechał w podróż służbową do Londynu. Wtedy zakradło się do mojej duszy coś niedobrego i mętnego. Pamiętam, że powiedziałem powoli i wyraźnie, patrząc na kłębiaste chmury sunące po błękitnym niebie w oknie:

– A ta walizka to na kółkach była!

Nie będę opisywał tego, co przeżywałem i w ogóle... Powiem krótko: mój kolega z klasy i przyjaciel z dzieciństwa (nie, jednak nie mogę go nazwać przyjacielem, bo przecież bym się rozeznał), profesor, znawca i krytyk sztuki, Borys Klinkin wyjechał do Mglitego Albionu – na zawsze. Sześć miesięcy później w popularnym ilustrowanym magazynie przeczytałem, że na aukcji Christie's⁴² nieznany dotąd rysunek Amedeo Modiglianiego *Mężczyzna w kraciastym szaliku* został sprzedany za półtora miliona dolarów. Notatkę ozdabiał mój portret, który, prawdę mówiąc, nie bardzo mnie przypominał.

Wieczorem zadzwoniłem do Siergieja i powiedziałem, że jego machorka już mi się skończyła.

– Spotkajmy się więc, przyniosę – odparł.

Zaproponowałem, abyśmy w nocy, o drugiej trzydzieści, poszli do Baru, w którym się poznaliśmy. Zgodził się.

Ahat Muszyński

(Tłumaczenie z jęz. rosyjskiego:
Musa Çaxarxan Czachorowski)

⁴² Christie's: powszechnie znany dom aukcyjny w Londynie (przyp. tłum.).



Autorzy

Lenar Szajeh (tat. Lenar Şayeh, Ленар Шаех): urodzony 4 października 1982 roku we wsi Taktalaczuk w rejonie aktanyskim Republiki Tatarstan. Ukończył Mienzieliński Koledż Pedagogiczny (1999–2002), następnie studiował na Wydziale Filologii Tatarskiej i Historii Kazańskiego Uniwersytetu Państwowego (2002–2007). Absolwent studiów podyplomowych (2007–2010), doktor nauk filologicznych. Dziennikarz, pisarz, tłumacz, redaktor naczelny Tatarskiego Wydawnictwa Książkowego w Kazaniu. Jego utwory były tłumaczone m.in. na angielski, francuski, polski, turecki oraz kirgiski.

Musa Çaxarxan Czachorowski: dziennikarz, poeta, tłumacz, wydawca. Rzecznik prasowy Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP, Przedstawiciel MZR w RP na Dolny Śląsk. Redaktor naczelny kwartalnika „Przegląd Tatarski”, redaktor prowadzący „Rocznika Tatarów Polskich”. Autor kilkunastu zbiorów poetyckich, tłumaczeń bajek tatarskich oraz licznych publikacji związanych z tematyką tatarską i muzułmańską, w tym przekładu Koranu (2018). Publikował m.in. w „Akcencie”, „Kulturze”, „Odrze”, „Poezji”, „Prowincji”, „AlTaBaş” (Niemcy), „Idel” (Tatarstan), „Lietuvos totoriai” (Litwa), „Magyar Napló” (Węgry), „Vár Ucca Műhely” (Węgry). Jego wiersze zostały przetłumaczone na arabski, chorwacki, rosyjski, tatarski, turecki i węgierski.

Ahat Muszyński (tat. Ähäät Muşinskiy, Әхәт Мушинский): tatarski prozaik i publicysta, absolwent Wydziału Dziennikarstwa Kazańskiego Uniwersytetu Państwowego. Autor kilkunastu

książek w języku rosyjskim, w tym kilku dla dzieci, przetłumaczonych m.in. na tatarski i angielski. Laureat Republikańskiej Nagrody Literackiej im. G. Dzierżawina i Narodowej Dziecięcej Nagrody Literackiej, uhonorowany tytułem Zasłużonego Twórcy Sztuki Republiki Tatarstanu. Dyrektor Tatarskiego PEN Center, redaktor naczelny „Almanachu Kazańskiego”, starszy pracownik naukowy Biblioteki Narodowej Tatarstanu.

Пјас Ајдаров (tat. Пыәс Аыдаров, Ильяс Айдаров): urodzony w Kazaniu artysta malarz, absolwent Wydziału Budownictwa Mieszkaniowego i Użyteczności Publicznej Moskiewskiego Instytutu Architektury. Członek Międzynarodowej Federacji Artystów UNESCO, Związku Artystów Republiki Tatarstan, Narodowy Artysta Republiki Tatarstan, wielokrotnie nagradzany i wyróżniany. Jego obrazy znajdują się w licznych kolekcjach prywatnych oraz galeriach na całym świecie.



Spis treści

Co w tatarskich sercach gra... ..5

Lenar Szajeh

Moje serce płonie.....13

Bal Babaj.....24

Dwie historie.....28

Chusteczka.....32

Maliny.....34

Pasek.....37

Spotkanie.....39

List.....43

Sikorka.....46

Monolog zwykłego człowieka.....49

Dusza.....52

Sen na jawie.....54

Wystarczy jedna pieśń.....56

Musa Çaxarxan Czachorowski

Miasteczko.....59

Wszystko.....61

Pamięć.....62

Cisza.....64

Ziemia.....65

W czasie. W przestrzeni.....67

Szary wilk.....71

Idący.....77

Dorożka	83
Gniada	86
Targowisko	89
Chleb	92
Dzień prawie wiosenny	95

Ahat Muszyński

Aksym	99
Pierścień z turkusem	111
Modi, Anna i inni	123



Zapraszamy do lektury książek i czasopism
wydawanych przez
Najwyższe Kolegium Muzułmańskie MZR w RP

Biblioteka tatarska on-line
www.bibliotekatatarska.pl

Biblioteka muzułmańska on-line
www.bibliotekamuzulmanska.pl